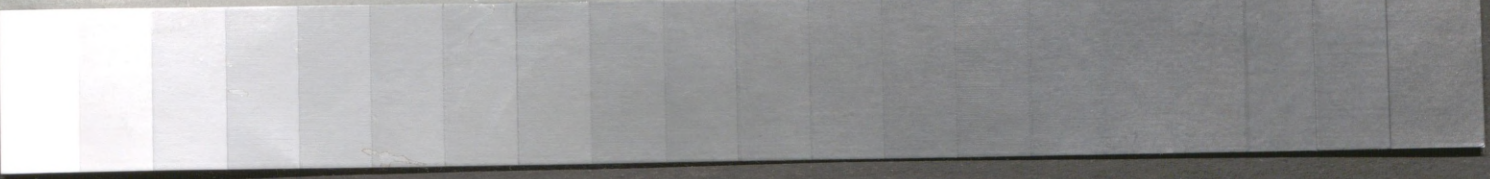




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

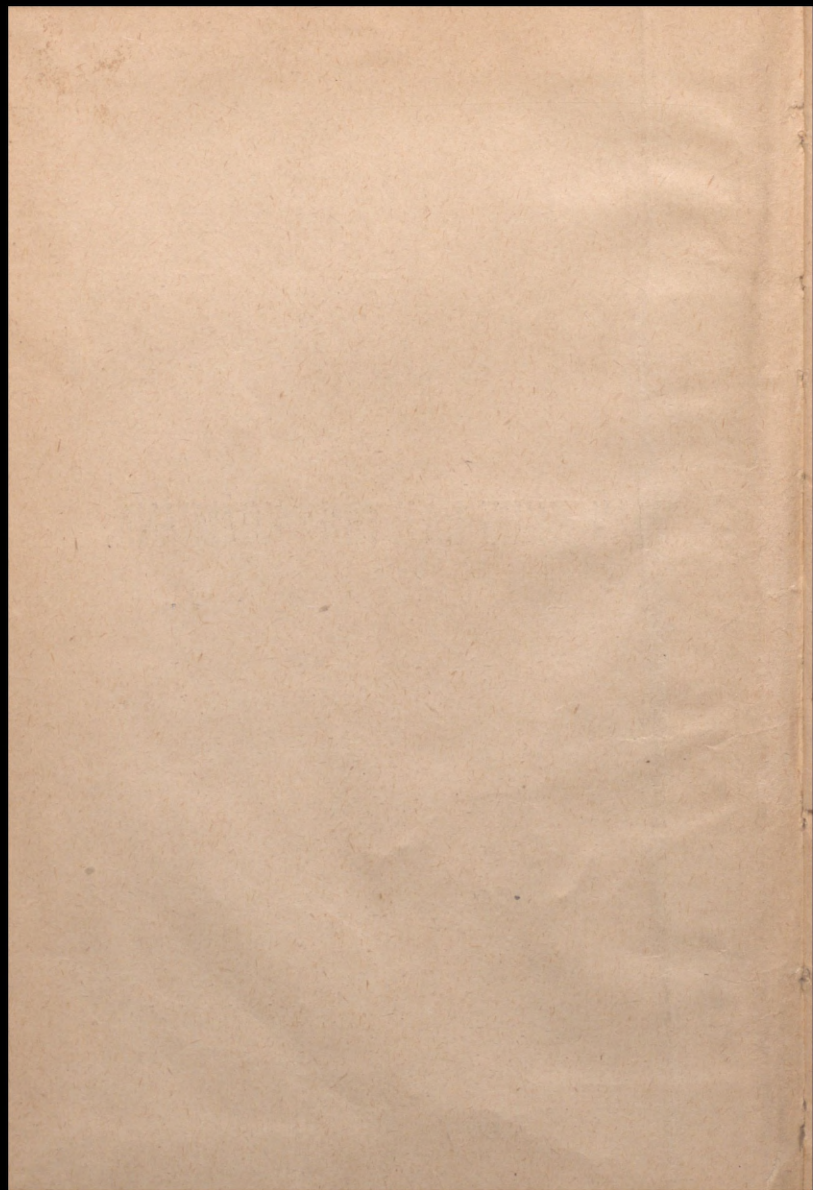
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8  
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





**PAMIĘTNIKI KAJETANA KOŹMIANA.**



583 B. № 216

# PAMIĘTNIKI KAJETANA KOŹMIANA

OBEJMUJĄCE

wspomnienia od roku 1780 do roku 1815.

CZEŚĆ I.

WARSZAWA  
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.  
1907.

EMIL BRATRO  
KSIEGOZBIOR  
No 20 ZN. M.



10072 / 1

## PRZEDMOWA.

---

(Kajetan Koźmian, poeta i prozaik z czasów Księstwa Warszawskiego, urodził się w roku 1771 w Gałęzowie, w województwie lubelskim, jako syn Andrzeja, sędziego ziemskiego i Anny z Kielczewskich.

Do szkół uczęszczał w Zamościu i w Lublinie. Po roku 1794 osiadł na wsi. Rok 1809 — rok nowych nadziei, otwierających się przed Polską — wyrwał go jednak z zacisza wiejskiego i wyprowadził na szerszą arenę.

Początkowo referendarz, zasiadający w radzie stanu Księstwa Warszawskiego, następnie sekretarz sejmu Konfederacyjnego w r. 1812, potem radca stanu w składzie rządu Królestwa Polskiego, prezes delegacji administracyjnej, dyrektor generalny administracji krajowej w ministerjum spraw wewnętrznych, wreszcie senator — służył Koźmian Ojczyźnie rozważnie i z oddaniem.

Po roku 1830 osiadł na wsi, w Piotrowicach, gdzie resztę życia strawił w otoczeniu rodziny i ksiąg umiłowanych, oddając się pracy literackiej i spisywaniu pamiętników.

Umarł w r. 1856, dożywszy lat sędziwych.

Jako pisarz, należy Koźmian do tych, co z największym uporem bronili do ostatka twierdz klasycyzmu przed atakami romantyków.

Sam władał wprawdzie wybornie językiem i miał duży talent poetycki, którego wcześniej złożył dowód w słynnej odzie na zawieszenie orłów francuskich w Lublinie w r. 1809, ale zapatrzony we wzory rzymskie, niewolniczo naśladował Wirgiljusza (poemat: *Ziemiaństwo polskie*) i nie umiał zdobyć się na świeżość i oryginalność.

Nie mniej Koźmian był prawdziwym poetą, a w utworach jego jest wiele pierwszorzędných piękności, uderzających siłą i barwą. Pod tym względem wyróżnia się zwłaszcza poemat *Stefan Czarniecki*.

Dla współczesnych jednak o wiele ciekawsze od poezji Koźmiana są jego *Pamiętniki*. Stanowią one bardzo cenne źródło do poznania obyczajowości naszej na schyłku 18-go i w pierwszej połowie 19-go wieku. Dają nam one obraz życia ówczesnego, wierny i dokładny. Nadto znajduje się tu mnóstwo pierwszo i drugorzędnych, zawsze ciekawych, szczegółów historycznych, dotyczących naszych losów porozbiorowych.

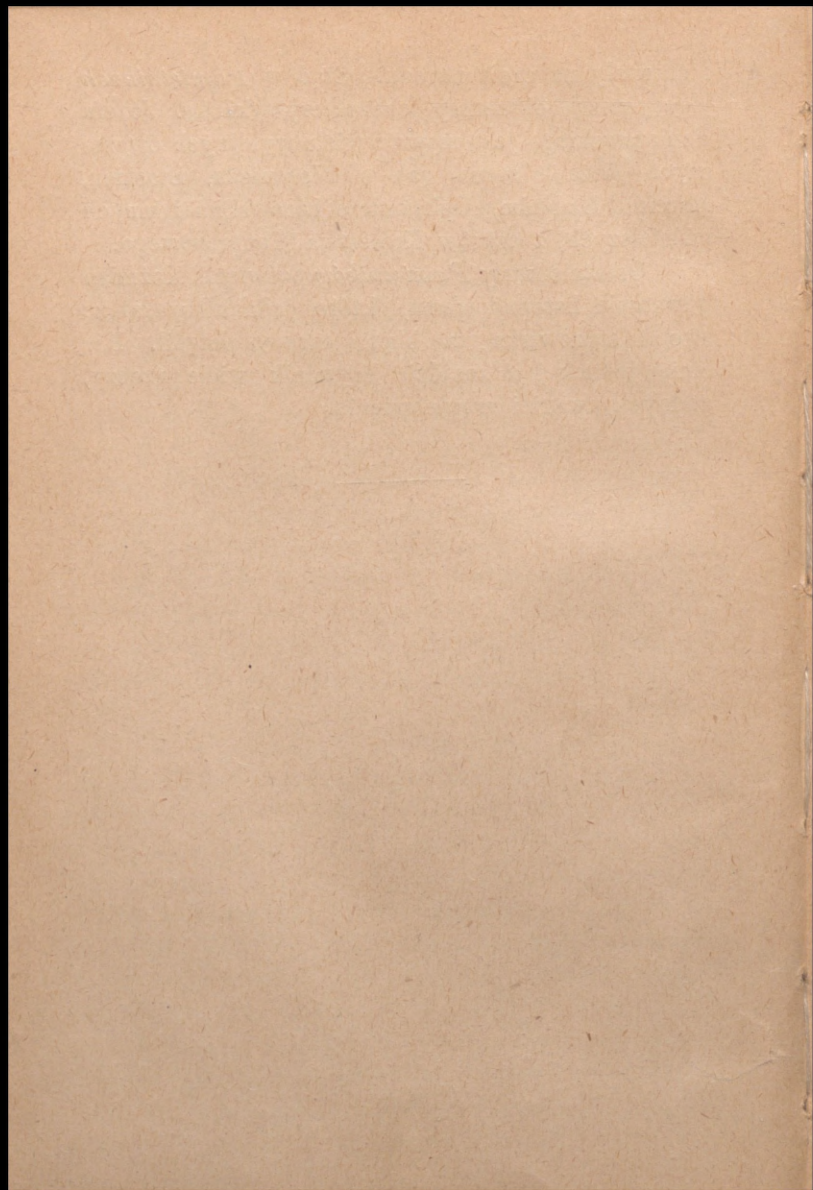
Koźmian, zajmując wybitne stanowisko w kraju, miał sposobność zbliżyć się i poznać wszystkich ludzi, których wypadki dziejowe wysuwały naprzód

7

i stawiały na czele narodu. Stąd w *Pamiętnikach* jego opisu obszernej charakterystyki ks. Józefa Poniatowskiego jest mowa o wielu wybitnych ówczesnych mężach stanu, jak o Woroniczu, Staszicu, Marcynie Badem, Aleksandrze Linowskim i innych późniejszych, z czasów Królestwa Kongresowego.

Ostatnie karty *Pamiętników* poświęcił Koźmian powstaniu listopadowemu, które jednak uważał ze swego stanowiska za błąd i surowo potępił. Nie mniej jednak i tu znajdzie czytelnik wiele rzeczy, godnych uwagi i zastanowienia.

---



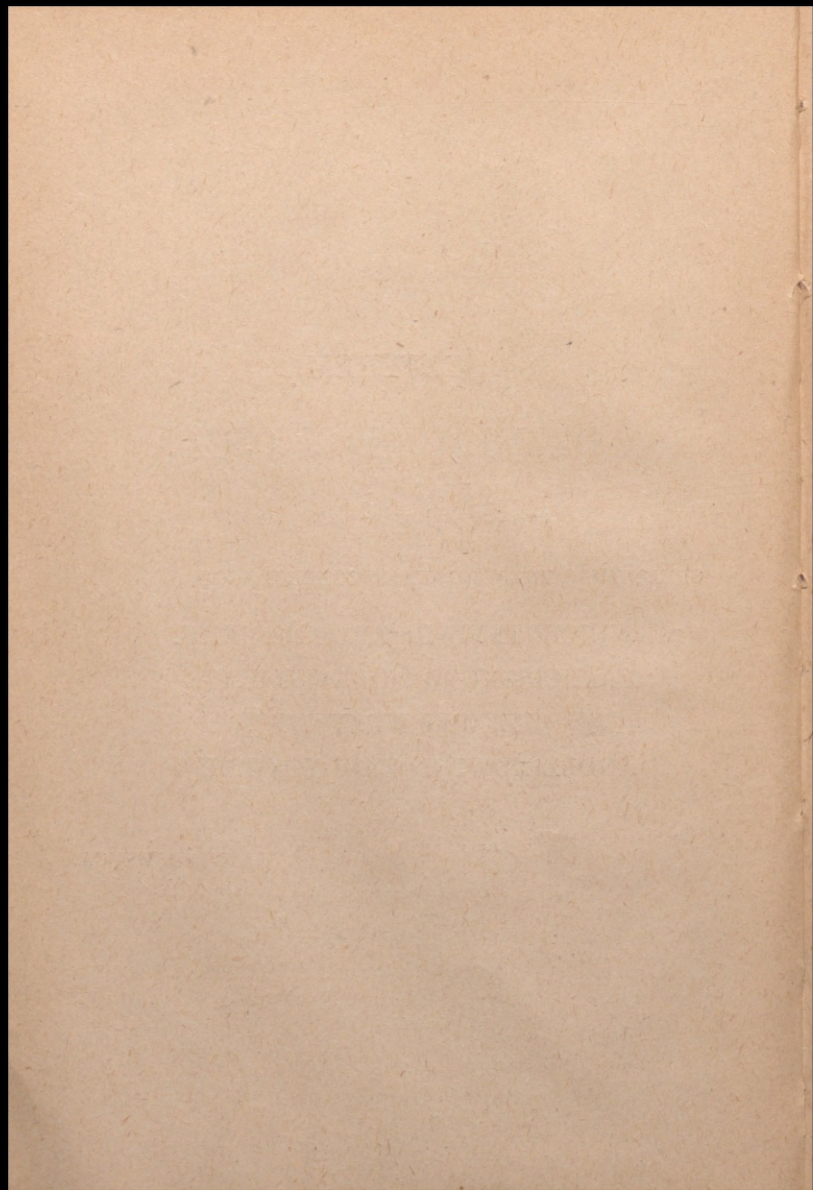
CZTEREM  
PRZYJACIOŁOM OJCA,

pozostałym jeszcze na tej ziemi,

SPEŁNIAJĄC PRZEDZGONNE ŻYCZENIE JEGO

WINCENTEMU Hr KRASIŃSKIEMU,  
FRANCISZKOWI MORAWSKIEMU,  
FRANCISZKOWI WĘŻYKOWI,  
ANDRZEJOWI Hr ZAMOYSKIEMU

SYN POSWIĘCA.



## OSTRZEZENIE.

---

Ktokolwiek i kiedykolwiek z rodu mojego, (bo dla niego szczególnie te wspomnienia moje przeznaczam) czytać je będzie, niech w nich nie szuka porządku, ciągu, systematu, chronologii, a nawet stylu; kreśliłem je w późnym już i zniedołężniałym wieku, koleją, jaką mi w miarę chęci i zdolności na zawodną pamięć przychodziły. W chwilach publicznego mego zawodu wiele osób zachęcało mnie, abym, jako blizki świadek, a niekiedy współdziałacz toczących się spraw narodowych zbierał na papier wypadki i zdarzenia, dla ułożenia z nich pamiętników do historyi i jej sądu o czynach i osobach wpływ na losy narodu mających—te zapewne miałyby być więcej porządku, a może i stylu, lecz zbierane i pisane pod natchnieniem świeżych i chwilowych wrażeń może z niejaką uległością lub zbytęcną wiarą w opinię publiczną, która pozorami uwie-

dziona nieraz zwodzi, mniejby miały bezstronności i prawdy. Jakoż po oddaleniu się mojem od publicznych spraw, gdy czas odkrył wiele nie dość znanych powodów, gdy wiele wyjawiał tajemnic, wiele wyjaśnił wątpliwości, wielu obnażył ludzi, zamknięty, że tak powiem sam z sobą w domowej ustroni, gdy oczyszczonem sercem i umysłem z wszelkich stronnych skłonności, przywołałem na pamięć przeszłość, i zimną a wolną od uprzedzeń rozważą rozbiierać ją zacząłem, o wielu sprawach i osobach zmieniłem zdanie; nieraz to, co w ówczesnem mniemaniu brałem za zaletę, zostało w przekonaniu mojem po doświadczeniu wadą, co zdawało się winą—zostało zasługą. Jakoż komukolwiek Opatrzność dozwoli doczekać mego wieku, i oszczędzi mu po burzy niepodległego położenia, przekona się, że do tego rodzaju pisma najwłaściwszym jest wiek późny, w którym już nikt nam na nic się nie przyda i my nikomu na nic przydać się nie możemy, wiek, mówię, w którym poznawszy nicość tego wszystkiego, cośmy cenili i za czem się namiętnie ubiegali, nie oddychamy tylko sumieniem i prawdą, a bliżcy stawienia się przed najwyższym spraw ludzkich Sędzią, mniej dbamy o znikomą słynność na ziemi, jak o wyroki, które nas czekają z nieba.

W młodszym moim wieku miałem zawsze niejaki wstręt do rodzaju pisma, w którym mowy o sobie samym uniknąć niepodobna; wiedziałem jakie ona rzuca podejrzenie na najrzetelniejsze opowiadanie, kiedy mi wpadły raz pierwszy w ręce *Konfesye*, czyli *Spowiedź Jana Jakóba Rousseau*, to wyznanie szkalujące i zdradzające tajemnice tyłu ludzi; od-

rzuciłem je z gniewem, bo nigdy próżność i pycha ludzka ani wyżej doszła, ani rozum niżej nie zstąpił. W starości już mojej czytając pośmiertne pamiętniki Chateaubrianda, zapytałem się sam siebie, na co się przydały rozum, talenta, szlachetność uczucia, imaginacja, poezya, filozofia, religia, wszystkie najszczytniejsze zalety, jeżeli potężniejsza od nich miłość własna i próżność włada niemi i poniża. Nie wspomnę tyle innych drobnych i mało znaczących pamiętników, które i u nas z ukrycia wychylać się zaczynają, i w których czytelnik może rozrywkę znajduje, ale żadnej korzyści umysłowej z czytania ich nie odnosi. Niechcąc więc popaść sądowi krytyki, jaki je spotyka, proszę moją rodzinę, aby tych wspomnień moich nie uważała za nic innego, jak tylko za mieszaninę i z rzeczy i z ich opowiadania; są w nich może ziarna, ale są i plewy. Jeżeliby ktoś kiedy osądził, że mogą być w czem pomocne historyi moich czasów, nie dość, aby je wywiały z plew, trzeba jeszcze, aby chude ziarno przez rzeszoto przepuścił.

Pisałem w Piotrowicach dnia 6 stycznia 1852 a 80-go życia.

*Kajetan Koźmian.*

---

1028



### Wspomnienia moje od siódmego roku życia, 1779.

Ani w prywatnym, ani w publicznym, ani w literackim moim zawodzie, nie odznaczyłem się tyle od innych, abym sobie mógł pochlebiać, iż żywot mój wzbudzi ciekawość w potomności do poszukiwania wiadomości o mojem urodzeniu i sprawach młodości mojej. Pisząc wspomnienia zdarzeń, których byłem świadkiem, dając obraz osób, z którymi żyłem, krótko tylko wspomnę o sobie, więcej dla wiadomości mojej późniejszej rodziny, niż dla powszechności.—Za życia mego, mało o mnie mówiono i te były najszcześniejsze chwile mego życia, po śmierci tem mniej może będą mówić.—Nie jest to wyznanie pychy przebranej w pozory skromności, jest to przeświadczenie się o sobie poczciwego człowieka, bo do tego rodzaju słynności czułem w sobie żądzę.

Urodziłem się w województwie Lubelskiem, w powiecie Urzędowskim, we wsi Gałęzowie, w parafii Bychawie, z ojca Andrzeja Koźmiana, podów-

czas miecznika, a potem sędziego ziemskiego Lubelskiego i z Anny Kiełczewskiej, chorążanki Lubelskiej. Ciekawych poznać dom rodzicielski, a w nim powzięte pierwsze moje wrażenia, odsyłam do żywota brata mego młodszego Józefa Koźmiana, biskupa kaliskiego, którym w późnym już wieku moim pamięć jego uczciłem! Byłem trzecim z porządku dzieckiem, a drugim synem rodziców moich. Czytać i pisać nauczyłem się od piątego do siódmego roku, od dyrektorów w tym celu przybranych, od niejakiego Jakowickiego, a potem Jurkowskiego, którzy mało co więcej umieli. W roku siódmym oddany zostałem do szkół eksjezuickich do Lublina, wraz z braćmi moimi. Przeszedłem infimę pod księdzem Piotrowskim, a rektorem Wiercińskim, bez dyscypliny i batoga, i zasłużyłem na promocję do gramatyki. W następnym roku, przeniesiony zostałem wraz z braćmi i prawie wszystkimi uczniami z województwa lubelskiego do szkół Zamojskich, gdyż urządzenia komisji edukacyjnej szkół świeckich nie podobały się przesądnym ojcom, dlatego, że wychowania nie oddano wyłącznie duchownym, i że nauki nie w języku łacińskim lecz narodowym przepisano. Jakoż obywatele, szlachta województwa lubelskiego, nieprzestannie posłom swoim na sejmikach umieszczali *a capite* w instrukcjach upominanie się u papieża o powrót zakonu oo. Jezuitów. A lubo komisja edukacyjna, znając ważność położenia Lublina, który był wtedy teatrem zbierania się z całej Polski obywatelstwa, jako miejsce trybunału koronnego, przy którym po zwyciężeniu wojska pieniąctwo berło podniosło, lubo mó-

wię komisya edukacyjna akademią krakowską z najlepszych profesorów tak świeckich jak duchownych dla Lublina obrała i kierunek szkół lubelskich duchownym powierzyła, nie nawróciło to przesądów, którym pochlebiali eksjezuici przez pisma ubliżające nowemu systematowi wychowania i skrycie po domach rozrzucali. Przypominam sobie jedne pełne szyderstwa z nauki historyi naturalnej pismko, którą za niepotrzebną wystawiało. Na pierwszej kartce tej książeczki pisanej wystawiony był niedorostek wiejski, siedzący na koniu tyłem do głowy i trzymający go za podniesiony ogon; widziałem jak z ulubieniem czytając ją nasi ojcowie, śmieli się do rozpuku, powtarzając: „po co dzieciom mozolić głowy nad tem, że się konia za wędzidło, lub za grzywę, nie zaś za ogon prowadzi, co wie każdy pastuszek wiejski”. Tak to byli Ojcowie Jezuici, którzy zaciemniali głowy swoich uczniów.

Odebrano więc nas z Lublina i przeniesiono do Zamościa, gdzie nauki przez duchownych i w języku łacińskim wykładane były. Sam pod rektorami kolejno wybieranymi, księdzem Wątrąbskim, a następnie Rydubskim, kanonikami Zamoyskimi i razem proboszczami w ordynacyi, a nauczycielami klerykami Dobraczyńskim, Manugiewiczem, który potem został w królestwie kongresowem biskupem augustowskim, w trzech latach przebiegłem gramatykę i syntaxim w języku łacińskim, lecz oprócz wprawy w ten język i łatwego nim mówienia, prócz historyi świętej, nieco greckiej i rzymskiej, trochę geografii i arytmetyki do reguły trzech, niczego więcej nie nabyłem. Dyrektor zaś nasz,

Jurkowski, bez poprzedniego przygotowania, dorwawszy się filozofii i teologii, pod nauczycielem księdzem Kobylańskim, tak sobie zbałamucił głowę, że się rzucił w prozelityzm, zaczął nawracać żydów ciągłemi dysputami, za co dostał policzek od jednego rabina, a drugi żyd w mojej przytomności powiedział mu: „Daj Waśc pokój, bo Waśc niedouczony”. Gdy do szkół Zamojskich Austriacy wprowadzili porządek i język niemiecki, a szkoły wydziałowe lubelskie i przez wybór nauczycieli i przez przedmioty naukowe w języku narodowym wykładane i przez postępek w nich uczniów, zaczęły się wsławiać, przeniesiono nas z Zamościa do Lublina, a po odbytych egzaminach, uznano nas zdolnymi do czwartej klasy. Jakoż przyznać należy, że szkoły lubelskie w początku swoim obsadzone były najznakomitszymi nauczycielami, kolejno pod rektorami, z duchownego stanu Franciszkiem Jezierskim, Kamelimum, Treflerem i mieścili na katedrach profesorów, którzy później stali się ozdobą dwóch akademii Krakowskiej i Wileńskiej i liceum Krzemienieckiego. Czech, Szczyt, Przybylski, Girtler, Sołtykowiec, Zarzycki, zaczęli swój zawód naukowy w Lublinie, mieszały się z nimi i profesorowie eksjezuici dla dogodzenia uprzedzonej za nimi opinii. Ksiądz Mysłowski był profesorem matematyki, ksiądz Szliwiński sędziwy i zaeny kapłan był nauczycielem religii. Komisya edukacyjna, złożona z pierwszych osób w kraju, niczego nie zaniechała, coby się tylko przyłożyć mogło do otworzenia oczów uprzedzonemu narodowi na światło, którem go obdarzyć usiłowała; do przekonania go, że w nowym porządku, ani

z przedmiotów, ani z osób, nie nie wyłączano co-  
by było pożytecznem, lecz tylko dodano co było  
nieodzownie potrzebnem. Ignacy Potocki podów-  
czas pisarz W. Księstwa Litewskiego, a potem mar-  
szałek, posiadający dobra Kurów w Lubelskiem  
i często w nich przemieszkujący, miał sobie po-  
wierzoną szczególną opiekę nad szkołami lubelskie-  
mi, w czem mu i książę Adam Czartoryski generał  
ziem Podolskich, mieszkający w Puławach, gorliwie  
pomagał; bo wtedy pozyskać opinię Lublina było  
to pozyskać opinię całej Polski. Mimo atoli tych  
starań i pieczołowitości, mimo ciągłych przestróg  
dawanych rektorom i nauczycielom, aby jako ludzie  
świeższych wyobrażeń nie czynili z nich popisu  
przed uprzedzonymi dawnej szkoły uczniami, a szcze-  
gólniej aby praktyk religijnych jak najściślej do-  
pełniali, a języka łacińskiego nie zaniedbywali, Igna-  
cy Potocki miał zmartwienie być zmuszonym je-  
dnemu z profesorów gorzkie uczynić wyrzuty. Ja-  
cek Przybylski, profesor historyi, a razem literat,  
wytłómaczył na język polski Kandyda Woltera,  
wydrukował i przypisał mu; ta nieroztropność jednej  
chwili mogła na długo popsuć najszcześniejsze po-  
czątki zyskanej opinii. Gdy to dziełko oddawał  
Ignacemu Potockiemu, ten przeląkł się niespodzie-  
wanego prezentu, a godząc wielkim swoim rozumem  
delikatność dla uczonego lecz mniej uważnego pro-  
fesora z bacznością na skutki, przyjął, obdarzył  
tłómacza pierścieniem pod warunkiem że mu wszyst-  
kie egzemplarze, które szczęściem jeszcze na świat  
nie wybiegły, odda; jakoż nie wypuścił ich na wi-  
dok publiczny, a rad i przestrogi profesorowi oszczę-

dził. Z postępem czasu, pod takimi stróżami wychowania publicznego, rozwijały się coraz szczęśliwsze skutki; nie dawno jeszcze uprzedzeni ojcowie zaczęli cenić po dzieciach korzyści z nowego wychowania, zaczęli ucześnieć na egzamina, uznawać postęp w naukach; sami się z nimi przez rozmowy z dziećmi i profesorami oswajali, a ugrzecznieniem czerpanem z wzorów ich nauczycieli cieszyli. Jakoż młodzi profesorowie dobry i pociągający do siebie dawali przykład, ztąd jak z początku podzierało ich i stroniono od nich, tak potem zapraszano w towarzystwa prywatne i publiczne, i żadna uczta, żaden obchód nie odbył się, szczególnie w dni wolne od nauk, na której by się rektor lub prefekt z kilkoma akademikami nie znajdowali. Gospodarz by się sądził upośledzonym, żeby w osobach ludzi uczonych nie oddał tego hołdu naukom, a świadectwa sobie, że się z nimi sprzyja.

Pod takimi profesorami, przez lat cztery, przeszedłem cztery klasy nauk inclusive; wszystkim winieniem nieśmiertelną wdzięczność za ich usilność, z jaką dostrzeżone we mnie niejaki zdolności i chęci do nauk rozwijali, szczególnie zaś winieniem ją nauczycielowi wymowy i poezyi Józefowi Girtlerowi; ten wszczepił we mnie smak do pięknej literatury, ten oswoił z dobrymi starożytnymi i narodowymi wzorami, tak w prozie jak w wierszu, ten wskazał drogę zdrowego rozsądku i dobrego smaku. On dając mi do wyrabiania w różnych rodzajach wymowy i poezyi przedmioty, a spostrzegłszy we mnie czułość na pochwały, a zbytnią drażliwość na nagany, zawsze zaczynał od pochwał, a przygany

słodyczą zaprawiał. „Gdy usłyszał jaki okres ciemny lub wyszukany, mówił: „tego nie dość rozumiem, wytłomacz się ze swych myśli”, a gdy spostrzegł albo fałszywe myśli, albo nie właściwie oddane, mówił: „nigdy nie pisz tego, czego wprzód w głowie dobrze nie strawisz i z czego sam sobie rachunku zdać nie potrafisz; skoro to myślałeś, to tak trzeba było wyrazić” i swoim jędrnem tej samej myśli wysłowieniem przekonywał, że zdrowej i dobrze pojętej myśli, nigdy jasność stylu nie odstąpi. „Umiej—mówił—poświęcać osobliwość prostocie i naturalności, bo tylko to piękne co naturalne i nie wyszukane, to co jeszcze nie było słyszanem może na chwilę unieść, nawet zadziwić, ale tylko to, co prawdziwie snadne i nie wymuszone, stale i zawsze się podoba”. Pod takim nauczycielem wkładałem się w prawdziwość myśli i w jasność wysłowienia, nie wiem czy tego dopiąłem w moim literackim zawodzie, ale zapewne zapewne za samą usilność i pilność we wszystkich innego rodzaju naukach, za jednogłównym sądem moich nauczycieli, w trzecim roku mojego uczęszczania do szkół lubelskich, miałem sobie przyznany medal złoty *Diligentiae*. Otrzymałem go, gdy po raz pierwszy te nagrody po szkołach rozesłane zostały i na publicznym egzaminie prezydent trybunału książdz Sołtyk eksreferendarz przypiął mi go do piersi.

Po ukończeniu szkół wydziałowych, miałem być, wraz z starszym bratem Wincentym, wysłanym dla ukończenia nauk do akademii Krakowskiej; gdy wynikły spór między akademią a kapitułą Krakow-

ską, z przyczyny mowy księdza Bogucickiego profesora historyi, wobec króla wyrzeczonej, której kapituła kacerstwo zarzucała, zraził ojca mego bojaźnią zarażenia synów irreligią. Ksiądz Wybranowski kanonik krakowski sędziwy starzec, a krewny nasz z matki, radami swemi odwrócił ojca od tego zamiaru. Zbliżał się też sejm 1788 roku, polityczne wypadki zajęły ojca mego. Opisałem w żywocie brata mego Józefa Koźmiana, biskupa kaliskiego, powody które go skłoniły do oddania starszego syna w służbę pruską, młodszego do seminarjum Warszawskiego, mnie do palestry lubelskiej, do mecenasa Józefa Podchorodeńskiego, dawniej swego dependenta, później wdzięcznego przyjaciela, zacnego człowieka, gorliwego patrioty, tego samego Podchorodeńskiego, który w powstaniu Galicyi zachodniej szwadron jazdy swoim kosztem wystawił.

Kończąc pisanie mego zawodu szkolnego, dodam tu jedną starego wieku uwagę dla okazania moim współziomkom tych wielkich zasług, jakie komisya edukacyjna i mężowie ją składający, wraz z Stanisławem Augustem, w kraju swojemi mądrymi szkół urządzeniami położyli. O czem wspomniałem w przypiskach moich do Ziemiaństwa polskiego, tu obszerniej powiem, jako naoczny świadek, jaki te urządzenia w kształceniu młodzieży wywarły wpływ na obyczaje młodego plemienia, usunąwszy tę młódź z pod groźnego i niemiłosiernego surowością prowadzenia OO. Jezuitów, przez uchylenie całkowite cielesnej chłosty i zaszczepienie uczucia godności człowieka i jak to plemie znowu, tak odróżniające się oświeceniem, ludzkością i słodyczą, wpłynęło

nieznacznie na surowych ojców, że ci wobec ich zawstydzili się swoich uprzedzeń, swego groźnego z dziećmi, a następnie z sługami i włościanami obchodzenia. Już oni w dzieciach nie znajdowali chętnych wykonawców swoich surowych rozkazów, lecz służący, włościanie, zyskiwali w nich swoich patronów i wstawicieli. Przypominali sobie sami młodość swoją, z jaką trwogą i płaczem przenosili się do szkół, bo choć z pod groźnej rodzicielskiej ale zawsze rodzicielskiej władzy, podchodzili pod zwierzchność groźniejszą i srogą niemiłosiernym batogiem. Widzieli jak ich synowie, szczególnie z domów surowszych rodziców, z ochotą a nawet i z radością spieszyli do szkół akademickich, gdzie w nauczycielach nie groźnych zwierzchników, lecz łagodnych doradców, przewodników i prawdziwych ojców znajdowali. Zaczęli się więc spostrzegać i przekonywać ojcowie, że groźne prowadzenie młodzieży wszczepia w jej serce twardość, uporeczywość, surowość i głuchemi ją czyni na płacz ludzkości i uczuli w sobie przyczyny tego w groźnym z niemi postępowaniu i w domu rodzicielskim i w szkołach, spostrzegli, że przez wkorzeniony nałóg nie innego nie robią, tylko dzieciom, sługom, włościanom oddają te same razy, które w szkołach od swoich nauczycieli odbierali; aż nakomec pozbyli się tego fałszywego wstydu, przyznać się, że błędnie wychowanymi byli, który najtrudniejszym jest do zgwałcenia, bo upokarza przed młodszem od siebie pokoleniem.

Jeden przypominam sobie zarzut, który uczniowie jezuickiego wychowania czynili nowemu sposobowi wykształcenia. „Nas — mówili — uczono

w szkołach jezuickich na rekreacyach bić się w palcaty, umieliśmy i umiemy przez to dobrze szablą machać, czemu zaniedbują tego ćwiczenia po terażniejszych szkołach?" Nie zaniedbywano, ale w innym i przyzwoitszym sposobie zamiast bójk na palcaty, z której nie jeden mniej zręczny i silny z przeciętą i skrwawioną twarzą wyszedł, wprowadzono mustrę drewnianemi karabinami a w dniu rekreacyi uczniowie pod dowództwem profesorów szli na plac za miasto, śpiewając strofę Krasickiego, „Święta miłości kochanej ojczyzny”, lub marsz Naruszewicza:

Królu, któryś naród oświecił,  
Męztwo—cnotę—honor w nim wzniecił.

A więc ojcowie przekonali się, że inny tryb wojowania innego ćwiczenia wymagał. Jakoż ta wprawa w palcaty, usposabiając do machania dobrze pałaszem, była może pożyteczną i dobrze wymyśloną wtedy, gdy szabla polska zbijała spisy kozackie, tureckie bułaty i kindzały tatarskie, lecz po zwinięciu wojska pod Augustem II roku 1717, w głębokim pokoju, namnożyła niepożytecznych rębaczów, bundecznych zuchów, bezczelnych burdów i junaków, zuchwałych napastników, sierzdistych na zajazdach przewódców. Tę sztukę dobrze władania pałaszem, męztwo wrodzone Polakom wyczerpywało dawniej na placu wojny, a pod naszymi oczyma chęć popisywania się z tem, co najlepiej umiemy, i zwykły szlachcie polskiej, a podobno i całemu sarmackiemu plemieniu szafunek jego na plac sejmików, zajazdów, jarmarków, odpustów,

a nawet uczt i obchodów publicznych przeniosło, tak że rzadkie było zgromadzenie, na któremby się nie kłócono, nie wyzywano, nie rąbano, i nie raz obrusy stołowe winem z krwią pomieszaniem skrapiane bywały. W województwie Lubelskiem były niektóre familie, co tę bezezną wadą junakieryi, jako, szczególną cechę, równo z herbem szlachetwa zachowywały i jak zaszczyt jaki pielęgnowały. Rodzina Trzeińskich szczególnie się nią odróżniała. Znałem trzech braci rodzonych z tego rodu, synów urzędnika wojewódzkiego dobrze osiadłego, wszyscy trzej mieli Herkulesa wzrost i postacie, nosili przy boku pałasze tak szerokie, jak katowskie miecze, przybrali do siebie dwóch podobnych atletów Zaniewskiego i Dębowskiego, a gdzie się pokazali, już tam bez burdy i rąbaniny nie obeszło; a że podówczas kto przewodził na sejmikach, ten najwięcej znaczył, i również panowie możni jak dwór takich poszukiwali, szablą więc i kielichem zjednali sobie protekcyę u Michała Granowskiego, sekretarza wielkiego koronnego i faworyta króla, który burmistrzował w Lubelskiem, a za jego wstawieniem się jeden został podstarostą Lubelskim mianowanym przez Mniszcha, marszałka wielkiego koronnego, a drugi podsędkiem. *O praeclarum custodem ovium*, Byłem prawie naocznym świadkiem, jak pierwszy niemiłosiernie obdzierając Żydów, a ujęty podarunkiem izraelity, kolegę swego, pisarza grodzkiego Skarszewskiego, czyniącego mu uwagi nad krzywem jego zdaniem, porwał na ustępie w swoje niedźwiedzie łapy i ledwie nie udusił, tak że na krzyk jego publiczność wpadła z ustępo-

wej izby do audiencjonalnej. Drugi podobnie w moich oczach na obiedzie publicznym, z przyczyny uroczystości imienin królewskich danym, obywatela, szlachcica Józefa Pulikowskiego, do którego miał urazę, porwawszy się od stołu w twarz uderzył, skrwawił i nogami skopał, że ten ledwie przez kolegów swoich wydarty mu został. Widziałem gdy oficera polskiego, niejakiego «Ostrowickiego, że mu się jego rozmowy nieco mniej religijne nie podobały, w twarz publicznie uderzył, a ten go na pistolety wyzwał. Pan podsędek strzelać się nie chciał, z natrząsaniem się odpowiedział: „ja bluźniercy Najświętszej Panny w łeb strzelę z okna, jak chrześcianin, a nie splamię się wyjściem na pojedynek.“ Oto są wyobrażenia o honorze, o bezpieczeństwie publicznem stróżów praw, wyobrażenia o chrystyanizmie uczniów szkół jezuickich. Znałem wielu jeszcze podobnych, a szczególnie niejakiego Konstantego Janikowskiego, sławnego rębacza i burdę, już nie jednego województwa lecz całego kraju. Był to jurgieltowany Achatest hetmana wielk. koron. Branickiego; był on wzrostu małego, lecz niezmiernie barczysty, szeroki, karku niesłychanie grubego, twarzy obszernej, zgoła lwięj postaci i siły. Gracz, rębacz, strzelał z pistoletów jak nikt i kielichem dobrze podołał; ten mniej był napastliwym, lecz wezwania żadnego nie odmówił, pod tym względem był w całej Polsce sławny. Bez jego sekundy żaden prawie w kraju nie odbył się pojedynek; w wydarzonym takim wypadku zaraz rozbiegały się sztafety szukać Janikowskiego, a gdzie on się ukazał, strach ogarniał przeciwną stronę, bo już poprzedza-

ła go sława nie jednego antagonisty sprzątnionego ze świata, na odbytym pod jego kierunkiem pole-dynku. Przecież gdy tę burdacką broń potrzeba było podnieść w r. 1792 na obronę ojczyzny, mało gdzie napełniły się pułki temi rycerzami wychowanymi w szkołach jezuickich, a wielu którzy wstąpili do szeregów męstwo odbiegło. Wychowañce szkół zaprowadzonych przez komisją edukacyjną, uczniowie szkół pijarskich, szkoły rycerskiej, konwiktów Teatyńskich, Kościuszkowie, Poniatowscy, Mokronowscy, Potoccy, Wielohorscy, Łażnińscy, Lipowscy, Jerlice i wielu innych, łamali zastępy nieprzyjacielskie i krwią swoją hojnie szafowali, a brygada Biernackiego, po większej części złożona z wąsatych burdów, a od białych kapot, kapotową nazwana, pierzchnęła pod Dubienkę i popłoch rozniosła. Podczas powstania Kościuszki, owi rębacze, owe zuchy lubelskie, o których wyżej wspomniałem, cóż zrobili? Jeden, przybrawszy na siebie kaftan z czarnej juchtowej skóry, jak ową zbroję Achillesa, przez całe powstanie przejeżdżał się po ulicach Lublina, werbował podobnych junaków, zbierał legią z trupiami głowami i z godłem Śmierć lub Zwycięztwo i ani sam na bój wyjechał, ani swej legii nie wyprowadził w pole. Drugi położył się w łóżko i udawał chorego na podagrę, chociaż na świeżo odbytym sejmiku rąbał się z szlachtą na ulicach. Nie kazał sobie krwi puścić jak Mokronowski, chociaż o tem słyszał.

Trudno tego bezstronnie nie przyznać, że jak owa generacya za dwóch Augustów wychowana, tonącą że tak powiem we wszystkich politycznych

wadach zeszyłych wieków, wyzuta z wszystkich zalet oświecenia, męztwa, wyobrażeń o cnocie i honorze, skażona i spodlona pijaństwem, pieniactwem, rozpustą, fanatyzmem, chciwością, przekupstwem, przybliżyła przygotowaną od dawna Polsce przez jej instytucie zgubę, i do tego stopnia ohydziła nas w Europie, że nietylko szacunek lecz politowanie świata nam odjęła; tak przeciwnie młode pokolenie, pod Stanisławem Augustem zrodzone i przez komisję edukacyjną wychowane, przez usiłowania swoje poprawienia wad ojców, przez szlachetne poświęcenie się i wytrwale zapasy z przygotowanym nam losem, lubo od wielkich błędów politycznych nie wolne, przynajmniej krzywdzącą opinią o charakterze polskim przejednało, szacunek Europy pozyskało i niejaką chwałą naród zaszczyciło. Kto się chce przekonać czem była szlachta polska za czasów dwóch Augustów, niech czyta Otwinowskiego, kto chce wiedzieć czem był szlachcic polski, ma jego żywy obraz w pamiętnikach Paska i w jego samego osobie, mniej zaletą męztwa, które były cechą wieku Jana Kazimierza i Sobieskiego, w którym on żył.

---

## Wspomnienia moje ze szkół pojezuickich.

Oddanego do szkół lubelskich, dwa przedmioty najprzód uderzyły i zajęły: kolegium pojezuickie i ratusz trybunalski. Na widok pierwszego drżałem z bojaźni, widok drugiego przyciągał moją ciekawość, bo tam ojciec mój, jako mecenas od krated mawiał, a z okien kamienicy Nossadynich w rynku, gdzieśmy umieszczeni byli, gdy w niej i w ratuszu okna w lecie otworzono, głos ojca słyszeć można było. Ratusz ten nie miał tej ozdobnej postaci, jaką go ręka Stanisława Augusta później obdarzyła; była to wielka czworograniasta kamienica, mająca wprawdzie też same obszerności rozmiary, lecz na pół prawie opustoszała, z ukrytym dachem, dół tylko był w niej sklepiony, i tylko jedno miała piętro z małemi oknami i z powałą z belkami wystającemi. Wehód na to piętro był ze dworu przez ganki drewniane i schody przyczepione do ścian murowanych. W środku były ogromne trzy czy cztery sale, w jednej stał stół wielki, długi, otoczony dre-

wnianemi balustradami; na początku stołu, pod ścianą, między dwoma oknami, wyższe o jeden stopień miejsce i dwa wielkie safianowe krzesła dla marszałka i prezydenta; stół nakryty sukniem zielonym, ławki naokoło z poręczami obite sukniem czerwonym; na stole przed marszałkiem na prawej stronie laska długa hebanowa w srebro okuta i dzwonek, przed prezydentem krzyż duży srebrny z Panem Jezusem ukrzyżowanym, w środku spora skrzynka srebrna pięknej roboty na grzywny, to jest kary pieniężne od pieniających się. Na drugiej stronie stołu od drzwi, w małym ustępie, na trzech wyniosłych stopniach, miejsce wszerz całego stołu dla mecenasów, to jest obrońców prawników, które to miejsce nazywano kratką, że wyniosłością swoją przed ich pierściami pułka przesłaniała ich od sędziów. W środku tej kratki krzyż wielki, wyniosły, czarny z Panem Jezusem, na którym wzdłuż wielkimi literami był umieszczony napis *Justitias vestras judicabo*. Już to nie był ów pierwotny krucyfiks, może jeszcze przez Jana Zamoyskiego twórcę trybunału najwyższego sprawiedliwości sprawiony; tamten jako cudowny od owej sławnej sprawy pokrzywdzonej wdowy, nad którą zapłakał, a jak powieść niosła, Bóg do niego przybity zesał szatanów na powtórne osądzenie tej sprawy, po którym nieprawi sędziowie karki połamali, wchodząc po schodach, ów więc cudowny krucyfiks do kaplicy kolegiaty przeniesiony został i tam uroczystem ciągle nabożeństwem czczony i błagany bywał. Ściany sali sądowej były po części nagie. Za marszałkiem na ścianie wisił wielki portret naturalnej

wielkości Augusta III w stroju polskim, w jakim się koronował, z czupryną podstrzyżoną, w żupanie białym, w kontuszu aksamitnym karmazynowym, w pasie bogatym przy karabeli, z berłem w rękę. Na ubocznej ścianie podobnie portret Małachowskiego, kanclerza naturalnej wielkości, w żupanie ponsowym, kontuszu białym. Właściwiej byłoby było umieścić portrety Stefana Batorego i Jana Zamoyskiego, jako twórców trybunału. Nie pomnę czyli wisiał i gdzie obraz Stanisława Augusta, który w późniejszym ratuszu po jego odmurowaniu widziałem. Nad wehadowemi drzwiami do sali był zawieszony podłużny obraz nie wielki świętego Tomasza, w którego święto zwykł się być trybunał limitować z napisem łacińskim:

Ille ego, qui facio privatum ex Consule civem,  
Ante meam privant vos male facta diem. <sup>1)</sup>

Drugie wrażenie, po którym zostały we mnie głęboko zagnieżdżone wspomnienia, uczyniło na mnie kolegium jezuickie. Pozostały mi w pamięci i mury tego ogromnego klasztoru, i osoby, zgromadzenie jezuickie dawniej składające. Kolegium to zajmowało z jednej strony trzy części dość długiej ulicy, Pojezuicką zwanej, z drugiej strony część wielką Koreów aż do kamienicy Grajewskich. Miało dwa dziedzińce, jeden ze studnią w środku klasztoru, w kwadrat na trzy piętra murowanego, dru-

<sup>1)</sup> Obszerniejszy opis trybunału Lubelskiego, drukowany w „Gazecie Codziennej”, znajduje się w osobnym rozdziale.

gi między faciatą wspaniałego kościoła, ten był z obydwóch boków opatrzony wielkimi furtami. Od ulicy Pojezuickiej miał nad bramą sklepioną i mieszkalną piętro, nad niem wielką wieżę, wśród której na grubych dębowych wiązaniach zawieszone były trzy dzwony, z których jeden szczególnie był obszernej wielkości, głosu ponurego i jęczącego, i tylko do wielkich uroczystości rozkołysany bywał, gdyż samo serce jego do poruszania się kilku potrzebowało ludzi. Szkoły, konwikt, ciągnęły się dwoma piętrami, jak rzekłem, przez całą ulicę, aż ku kamienicy Wybranowskich i Dominikańskich, które stykały się z kamienicą pojezuicką, niegdyś mieszkaniem rezydentów i rezydentek pobożnych. W tym gmachu na dole sklepionym były szkoły niższe aż do retoryki; wyższe, teologia i filozofia mieściły się na pierwszym piętrze, równie jak konwikt szlachecki. Była to budowla, dwoma pawilonami przytykająca do kościoła, mająca dziedziniec osobny, wehody i na wstępie na pierwszym piętrze piękną obszerną Najświętszej Panny kaplicę, w której uczniowie mszy codziennej zwykli byli słuchać. Kościół ten i klasztor zgorzał był r. 1740. Są sławne wiersze na pogorzeliisko jego, przekręconym na niemiecki dyalektem polskim pisane, pełne płaskich konceptów i trywialnych wyrażeń, które im śmieszniejsze były, tem więcej podówczas bawiły głowy jałowe. W tym stanie, w jakim ja go ujrzałem, odbudowali go byli architekty z Włoch przez zakon sprowadzeni, a malarze wewnątrz go ozdobili. Najwięcej uderzyły mnie wspaniałość kościoła, organy, mallowania, optyka ich i po większej części marmurowe

ołtarze. Nie wiem dlaczego wielki ołtarz acz wspinały był drewniany. Nabożeństwa też, szczególnie w uroczystości, bywały świetniejsze, niż w innych kościołach. Na święto Najświętszej Panny niepokalanego poczęcia, eks zakon, trybunał, palestra i szkoły, wszyscy *Sodales Mariani* ubiegali się, aby je jaknajwspanialej obchodzić w kościele jezuickim, i przesadzali się na świecie do procesyi. Jak trzy kaplice ku temu obrządkowi przeznaczone były, tak trzy obrazy Najświętszej Panny, w bogate srebrne i złote sukienki przybrane, przez te trzy korporacje sprawione i wotami obciążane, przez trzy dni kolejno obnoszone bywały w procesyi po kościele, i w kaplicach składane na ołtarzach. Pierwszy obchodził tę uroczystość trybunał, marszałek i prezydent, nieśli swój obraz, a za nimi postępował szereg deputatów duchownych i świeckich, i tłum obywateli i ludu. W drugim dniu obchodziła Palestra, nieśli obraz najstarsi mecenasi, za nimi postępowali młodzi prawnicy, dependenci i tłum pobożny. Trzeci dzień należał do studentów. Niosąc obraz, szli *Sodales Mariani*, za nimi uczniowie szkół z profesorami na czele i natłok rodziców i ludu. Przesadzano się szczególnie na świece jarzące, które każdy niósł w rękę; niektóre ważyły po kilkanaście funtów, że ledwie udźwignione być mogły. Rodzice, przez pobożną próżność, starali się aby mieszczanie nieupośledzali ich dzieci. Ja sam dźwigałem za dukata tak ciężką na mój wiek i siły świecę, że w krótkim przechodzie przez dziedziniec, między kaplicą studencką a kościelną, upadłem w śnieg, świecę zgasilem, i to mi się dobrze

wyryło w pamięci. Kościół wewnątrznie i zewnątrznie facjata jego, klasztor, bramy, wieża od kościoła i od ulic, błyszczały tysiącem jasnych i kolorowych lamp, huczały organy i kapela trybunalska, zewnątrz jęczały dzwony na wieżach, grzmiały mōdzierze i strzały garnizonu po za kościołem i na ulicach. Msze, wotywy, kazania w kościele, exorty, spowiedź po kaplicach, zaczawszy od rana, ledwie z krótką przerwą, przeciągały się aż do północy. Dodajmy do tego, niesłychanie bogate aparaty na ponsowym aksamicie, tak grubo srebrną i złotą nicią przetykane, że się kapłani silnego wzrostu pod nimi uginali, a łatwo pojętem będzie, jakie to czyniło wrażenie na młodocianych umysłach. Mimo tej atoli wspaniałości, mówiono już wtenczas: „świetniej bywało za OO. jezuitów”, raczej zapytać by się nie jeden powinien, z kąd ekzejuici już obrani wtedy ze swoich dóbr i funduszów mogli wystarczyć wydatkom na podobną wystawność. Mnie się zdaje, że pobożna gorliwość publiczności wiele się przykładać musiała; przytem między członkami tego zwiniętego zgromadzenia, wielu znajdowało się z pierwszych a najzamożniejszych rodzin, nietylko wojewódzkich, lecz całej Polski, którzy swoich dostatków nie żalowali na tę wystawę, co jak wprzōdy wiele przyczyniało się do wziętości zakonu jezuickiego, tak wznowienie tej świetności obrządku, przypominając ziomkom ten zakon, miało na celu wzbudzenie żalu po jego zniesieniu.

Jakkolwiek różne są mniemania o pożyteczności lub szkodliwości zakonu OO. Jezuitów w Polsce,

mnie się zdaje, że tak ich obrońcy jak nieprzyjaciele zarówno przesadzają. Pierwsi ze strony religii, ze strony usiłowań ku zaszczerpieniu jej głęboko w lud polski, ze strony powagi obyczajów, przystojności, wstrzemięźliwości życia i dobrego przykładu, mają zupełną i niezaprzeczoną przyczynę ich ich uwielbiać; lecz ze strony wychowania młodzieży zbyt ostrego i twardego, ze strony nauk w języku obcym i już zamarłym dawanych, ze strony pochlebiania nałogom politycznym i instytucjom błędnym, których niepodobna aby szkodliwości nie znali, lecz tylko przez interes osobisty głaskali je i pieścili w młodych umysłach, ze strony intolercyi, nietylko dla różnowierców, lecz dla innych nawet zakonów i duchowieństwa całego katolickiego, ze strony mieszania się do interesów politycznych państwa, do wpływu na dworach królów, bronić ich nie można i pod tym względem historia wiele im win wyrzuca. Słyszałem od jednego z uczniów szkół jezuickich następującą o nich powieść. Stała na ich dziedzińcu między kościołem a klasztorem figura pana Jezusa kamienna z krzyżem; gdy któryś z królów polskich przejeżdżał przez Lublin i miał odwiedzić ich kościół, zdjęli pana Jezusa z piedestału, a umieścili posąg króla. Gdy nazajutrz miało figurę Zbawiciela postawić, znaleziono kartkę przyklepioną z następującymi wierszami:

Ejecit hinc Christum, posuitque insignia regis  
Perfida gens, alium quaerens habere Deum.

Jezuici odpisali następującym konceptem, który admirowano:

Prae foribus vigilant reges, tenet intima numen,  
Eh! serve Dominum perfide nosce tuum.

Zarzuty czynione przez przeciwników zakonu, jako po większej części pochodzące od różnowierców, którym w Polsce cios zadali, lub od pseudo-filozofów, którzy religię objawioną za niepotrzebną ogłaszają, tem są podejrzawsze, że od obrażonych namiętności natchnione. Szczególną jednak będzie zagadką do rozwiązania ta okoliczność, iż monarchowie bądź z własnego popędu, bądź przez ministrów swoich uwiedzeni, zarzucając zakonowi jezucickiemu rozkrzewianie dogmatów zgubnych dla tronów spiknęli się, i prawie przymusili Klemensa XIV do zniesienia zakonu Jezuitów; i ciż monarchowie teraz po krwawych i okropnych doświadczeniach, z tą samą usilnością postarali się o zwrócenie jego i w swych państwach go zaprowadzają. Zarzucano jeszcze zakonowi, że miał zamiar wprowadzić w Europie rząd teokratyczny, i na dowód tego powołano się na Paraguaju, a nie zarzucają reformacyi, którą uważają za mistrzynię i początek wolności politycznej ludu, że w niektórych państwach, które ją przyjęły, król jest kapłanem i dwie władze świecką i duchowną w sobie łączy. Która tu natura tych rządów jest mniej niebezpieczną dla wolności i praw ludów, a razem bezpieczeństwa tronów, sądzić i rozstrzygać moim słabym rozumem nie będę; lecz zdaje mi się, że tam, gdzie między królami a ludami stoi na boku władza wyższa nad nich, władza święta z nieba, za najwyższego ich sędziego nadana. Wszakże króle i narody w najsceptyczniejszych cza-

sach, obzierać się na nią musiały, i jeżeli dziś tak jak dawniej gromów się nie lękają, o jej poparcie przez interes towarzystwa i swój własny dbają. Póki wiara była mocno wkorzeniona w serca ludu i władców, ta wyższa potęga była dla obydwóch stron hamulcem, dziś z osłabieniem wiary, obie straciły i wędzidło i obronę. Napoleon podniósł ołtarze i najwyższego kapłana chrześcijaństwa otoczył czcią, a przyjętem namaszczeniem od niego utwierdził swoją władzę. Głęboko i rozumnie wtedy myślał. Tak gdy wiarę podeptał, kapłana jej uwięził, obrał się sam z uroku, którym się był otoczył, i mimo swoich zwycięstw w śniegach swoją chwałę utopił i na świętej Helenie życie jak Prometeusz na Kaukazie zakończył. W naszych czasach lud włoski w szaleństwie swoim to samo zrobił z Piusem IX, od którego pierwszy chrzest wolności odebrał. Mądry ten ojciec kościoła, ojciec narodu zasady krwawej wolności wyznawającego, w więzy przez niego niejako okuty został. *Digitus domini hic est.* Będzie to nauką? dla królów i ludów oby przynajmniej było przestrogą!

Czyniono jeszcze zarzut jezuitom, że chcieli zaprowadzić w Polsce świętą inkwizycją. Jest to największym fałszem, ani chcieli ani mogli. Trzeba nie znać rozsądku zdrowego tego zakonu ani charakteru narodowego Polaków, ani ich dziejów aby temu zarzutowi wierzyć. Trembecki niepodejrzany w swoim pod tym względem przekonaniu, bo należał do sekty zapaleńców Woltera, napisał o jezuitach:

Nie lubię Franciszka z braty,  
 Mniech ten, nadto niespokojny,  
 Podburzał lud do krucjaty,  
 Do krwawej i próżnej wojny.  
 I Dominika z błyszczącym okiem  
 Bo kto mu tylko uwierzy,  
 Niechaj świętego omija bokiem,  
 Bo z tyłu nożem uderzy,

A zaś synów Lojoli, ta sława przed światem,  
 Tysiąc z nich męczenników, żaden nie był katem.

W dziełach tego samego Trembeckiego znajduję także wyrzut zrobiony Klemensowi XIV wśród pochwał tego zakonu i żalów na jego zniesienie.

Kiedy zwalisz filary, gmach runie bezsilny,  
 Teraz wierzę Klemensie! żeś jest nicomylny.

O ile jezuita byli pożyteczni lub szkodliwi innym katolickim narodom i państwom, jaka jest szala ich zasług, położonych w religii, w wychowaniu, w oświeceniu, w naukach, czyli ona przeważa wady i błędy, od których jako ludzie wolnymi nie byli, wchodzić w to nie będę, bo nie mam pod tym względem dość obszernych wiadomości. Co do nas, co do Polski, aby o nich bezstronny sąd powziąć, trzeba ich istnienie na dwie oddzielne podzielić epoki. Pierwszą od Zygmunta Augusta do Zygmunta III, drugą od Zygmunta III, aż do ich zniesienia pod Stanisławem Augustem w r. 1775, czyli w jedynastym roku panowania tego króla.

W pierwszej, podobno, z świadectw historycznych, trudno będzie zaprzeczyć znamienitych zasług, pod wszystkimi wyżej wzmiankowanymi względami;

a najgłówniejszą będzie ta, że swoją gorliwością utrzymali nas przy starożytnej wierze naszej walcząc ciągle piórem, językiem, wychowaniem z tylu różnorodnymi kacerzami, których namnożyli studenci za Zygmunta Augusta rozpieczętnieni po niemieckich szkołach, i ich mistrzowie wraz z nimi, naukę Lutra i Kalwina przynoszący do Polski, a protekcyą ich rodów wsparci. Oni to byli przygotowali umysły do oderwania się od prawowiernego kościoła; lecz w tej właśnie epoce wprowadzeni jezuita rozpoczęli swoje gorliwe działanie. i wkrótce też lub z ich szkół, lub ich staraniem nawróceni okazali się wielcy wodzowie, znakomici statysci, oświeceni i gorliwi w biskupach pasterze ludu. Chcąc się umocnić w przekonaniu o zasługach owczesnych zakonów jezuitów, czytać należy wyborne dzieło Dzeduszyckiego: „Skarga i wiek jego”.

Słyszałem nieraz mówiących terażniejszych filozofów, którzy działanie jezuitów nazywając fanatyzmem i prześladowaniem, zowią je razem ciosem, zadany oświeceni i niepodległości narodowej. Twierdzą oni, że gdyby się była Polska oderwała wtenczas od kościoła, do czego ją Zygmunt August przygotował, byłaby weszła w poczet państw oświeceńszych, byłaby przez nie ochroniona od upadku. Ja jako prawy katolik, z innego stanowiska tę rzecz sędzę; religię katolicką prócz jej niebieskiego pochodzenia, jako najgłówniejszą cechę narodowości naszej uważam. Uratowanie więc Polski od kacerstwa poczytuję zakonowi Jezusowemu za największą zasługę. Jeżeli mu zarzucają ciągłą walkę z akademią krakowską o wychowanie mło-

dzieży i ciągle jej upokarzanie—to najprzód ta walka już więcej do drugiej epoki należy, a potem powodem do niej było współbieganie się o wychowanie młodzieży, tak ze względu na religią, jak na oświecenie i zdolności nauczycieli; wyrzec trudno z czyjej strony w tej walce były większe winy, czy z tych co upokarzali, czy z tych, co się dali upokarzać. Wątpliwości nie podpada, iż zakon jezuitów dopóki nie wyszedł z swojego powołania i walczył z różnowiercami, dopóty miał i znakomitych ludzi i znakomite pióra; lecz gdy po zwaleniu różnowierców pod Zygmuntem III wzmógł się w dostatki, w bogactwa, w zapisy, na które wprawdzie zasłużył, usnął na laurach i wbił się w próżność, w pychę i w łakomstwo. Jezuiti krakowscy na wybudowanie kościoła zyskali od Zygmunta III części dochodów z żup wielickich; po ukończeniu jego gdy go król zwiedzał, prosili go, aby dla upiększenia tych gmachów zostawił na kilka lat jeszcze przy nich dochody wielickie. Zygmunt wskazując ich godła w cyfrze Jezus Chrystus, w której mieszczą się litery J. H. S. odpowiedział im z uśmiechem: *Samiście wyryli wszędzie Jesuite habent satis* i odmówił.

Oprócz tych wad, których ten zakon z czasem nabył, posunął on później gorliwość religijną, aż do fanatyzmu, walkę po zwycięstwie zamienił na prześladowanie zwyciężonych; on nas wprowadził w wojnę z Rosją za samozwańców, on przez swoje narzędzia prześladowając i nawracając Ruś, ściągnął bunt kozacki i następnie na Ukrainie rzezie, on przez nietolerancją pozbawił nasze miasta fabry-

kantów, on się przyłożył do okrutnego wyroku za Augusta III, przeciwko magistratowi Toruńskiemu. Atoli i w tej epoce, w której nadużywał swojego wpływu, miał znakomitych ludzi w swoim gronie. Jeżeli w owym czasie smak zdrowy w literaturze, w wymowie i w poezyi, psuć się już i kazić zaczął i skaził się, bardziej oni poszli za popędem zepsutego smaku, jak żeby go sami wprowadzić mieli. Była to powszechna choroba, powszechna zaraza, prawie wszędzie po świecie rozlana. Inne zakony i sama nawet Akademia Krakowska, Zamojska i Wileńska, lepszych od siebie wzorów nie dawały. Atoli po skasowaniu tego zakonu dopiero się w Polszcze objawili, gdy na świat wyszli z owego klasztornego ukrycia, dopiero się okazało, jakimi erudydami, jakimi pracownikami, jak oświeconymi członkami towarzystwo Jezusowe uposażone było. Wyszli z niego i okazali się: Naruszewicze, Albertrandowie, Piramowicze, Zachariasiewicz, Wyrwicze, Bochomolce, Poczubuty i tylu innych. Stali się oni przez swoje prace, dzieła znakomite w literaturze, ozdobą panowania Stanisława Augusta i zaszczytem kraju. Wszyscy powagą, oglądają obyczajów, towarzyską uprzejmością, zjednali sobie przychylność i nieśmiertelną pamięć. Jednemu tylko Naruszewiczowi można zarzucić wolne, nieprzystojne i głośno gorszące życie; bądź w nim naturalne skłonności, długo tłumione zakonną suknią wybuchły, bądź wzór Stanisława Augusta, którego był powiernikiem i pochlebcą, skaził go i zepsuł. Napisał o nim, nie jestem pewny, czy Trembecki czy Węgierski:

Jeśli dobrze  
 Było w bohrze  
 Biesiadować w zakonie,  
 Wstyd poecie  
 W fiolecie  
 W cudzej kochać się żonie.

Ale zapędziłem się w uwagach o jezuitach, a odbiegłem od szkół pojezuickich. Infima szkoła, do której wszedłem, była wielka izba sklepiona, mogąca pomieścić trzystu studentów. Między oknami stała na wyższym stopniu katedra dla profesora, przed nią ławka wypłowiałem czerwonym sukniem wybita, i dwie w poprzek takie same, po obóh katedry bokach. Naprzeciw katedry, kilka podłużnych przez całą izbę ławek polerowanych woskiem, dalej w odstępie znowu dwie lub trzy ławki stolarską robotą, nakoniec pod murem długa gruba ława na podkładach drewnianych. Pierwsze ławki zajmowali sami panieze, kolejną pilności podzieleni na kurie. ławki naprzeciw katedry zasiadała uboższa szlachta, a ostatnią mieszczanie; ława zaś była zajęta przez *bursów* i *pauperes*, z których kilku już było pod zawieszistym wąsem, a ledwie czytać i pisać umieli. Mówiono mi, że za Ojców jezuitów wprowadzony jeden z podobnych wąsałów, gdy wchodził do szkoły, zapytany został przez profesora dla dowiedzenia się czy szlachecie, *cujus generis?* odpowiedział czy przez żart, czy przez głupotę: *masculini*. Za co zaraz pytający przywitał go bockowskiem narzędziem. W boku bowiem tej szkoły była komórka dość ciemna, z małym oknem, gdzie wisiały na ścianie batóg i dyscyplina, gdzie niedorosłych delinkwentów niemi lub

różgą karcono. Co dzień niektórzy z wypadków, a co sobota prawie każdy tego rodzaju napomnienie otrzymywał. Każdy bowiem dekurion lub censor składał profesorowi katalog swoich spostrzeżeń w szkole, w kościele, na rekreacji uczynionych. Były to małe książeczki zarubrykowane kategorycznie słowami, *loquebatur, circumspiciebat, ridebat, nesciebat* i t. d. W tych rubrykach były powyrzynane narzędziem trójkątnem miejsca, te wyrzynania mogły się podnosić i zaginać, podnosili je i zaginali ci podstrzegacze, pod każdym nazwiskiem studenta w razie powyższego uchybienia. W sobotę następowała rewizya katalogów i egzekucya, do której zwykle owi wasacze używani bywali.

Trzeciego pamiętnego wrażenia doznałem z przejazdu z Puław księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem Podolskich, na Podole do dóbr swoich. Już w wigilię przejazdu tego księcia przechodziły wielbłądy, niosące na sobie rozmaite ciężary, ubrane i okiełznane w rozmaite trzęsidła, dzwonki, którymi potrząsały; prowadzili je udani Arabowie czy Turcy, pierwszy raz widziałem te gorącego klimatu zwierzęta. Nazajutrz całe Korce i część Krakowskiego Przedmieścia napelniły się licznymi pojazdami, karetami, koczami, landarami, brykami; tłok był nadzwyczajny, bo nie łatwo było pomieścić takiej karawany. Książę przyjechał sześciokonnym pojazdem; furmani, forysie w fereziach, a przy pojeździe hajducy wysokiego wzrostu. Najwięcej mnie uderzyło, czterech czy sześciu pokojowców szlachty, na dzielnych koniach w ubiorze tatarskim, z sajdakami, strzałami i łukami otaczających powóz księcia. Było

to świeżo po śmierci ojca jego, książęcia Augusta, wojewody ruskiego. Książę miał pałac w Lublinie, lecz że ten zawsze był zamieszkały przez deputatów, patronów i przyjaciół Czartoryskich, i nie mógłby był objąć takiego muóstwa asystencyi, z jaką się książę w podróż wybrał, wysiadł więc do kolegium pojezuickiego, do apartamentów prefekta wprzód zamówionych i przygotowanych. Witwały go szkoły oracyami łacińskimi, brat mój starszy prawił tę oracyę od infimy. Książę był ubrany w surdut munduru gwardyi litewskiej, jak go powszechnie malują na portretach, koloru granatowego z karmazynowemi wyłogami, obwódka złotą. Słuchał cierpliwie peror, pytał się dzieci o ojców, głaskał wielu, ojcom klaniać się polecił, nakoniec rzekł do prefekta: „Mości księżę prefekcie, proszę o jedną łaskę dla mnie, a ta będzie trzy dni rekreacyi dla tej młodzieży”. Rozjaśniły się nasze czoła, odszedłszy skacząc z radości, ledwieśmy nie pospadali ze schodów. Święcie dotrzymano nam słowa. Książę dzień jeden bawił w Lublinie, otoczony był wielu przyjaciółmi i dworskimi; poznałem przy nim oboźnego wielkiego kornego Witosławskiego, domowego książęcia Adama przyjaciela, i ztąd przyjaźnią złączonego z ojcem moim. Nie znałem w całym życiu mojem dorodniejszego, piękniejszego, i razem poważniejszego Polaka. Mówiono wówczas, że wyższy wzrostem, twarzą i postacią, podobnym był do Jana III Sobieskiego, ubierał się bardzo pięknie, miał na sobie mundur kawaleryi polskiej; żupan biały, kontusz granatowy z karmazynowemi wyłogami, na około srebrnemi haftami grubo obłożony, i pas bogaty, ta

postać jego głęboko w pamięci młodej wyrytą została.

Lublin nie przedstawiał się podówczas oku w takiej, w jakiej jest teraz postaci; nosił on na sobie smutne i nienaprawione jeszcze ślady dwóch wojen szwedzkich, rosyjskiej i ostatniej świeżej za konfederacyi barskiej. Po trzykroć spalony i spustoszony, w większej połowie swego dawnego stanu był napelniony sterczącymi i opalonymi murami, lub zasuty gruzami, i słabo się z nich dźwigał. Krakowskie Przedmieście od brany świętoduskiej, ledwie jeden dom wielki w całości, kamienicą Tomasza Węgrzyna zwany, zachowało; małe kamieniczki o dwóch lub trzech oknach, z facyatami na jedno piętro murowanemi, i z tyłu z drewnianemi zabudowaniami, w gęstych przez rudera przerwach stanowiły jedną stronę ulicy, na przeciwnej połąci ten sam obraz. Zaczynał ulicę od krakowskiego wjazdu dom nowy drewniany Rojewskich, nakształt dworu, zajezdny, a kończyły ku bramie krakowskiej kamienice opustoszałe i okopciałe. Na Korcach za pozajezuickimi gmachami jeden tylko dom wyreperowany Grajewskich, a potem Gizowskiego węgrzyna. Ulica Grodzka w podobnie nędznym stanie. W samym rynku, na wszystkich czterech połączeniach kamienice po większej części puste, lub w gruzach, prócz pięknych kamienic Makarewiczów, Stefanowskiego, handlujących winem, starożytnej struktury kamienicy Zdzarskich i odbudowanej Nosady nich, reszta domów niemieszkalnych lub tylko mieszkalnych na dole. Gmachy, które pałacami nazywano, Radziwiłłowski pod Reformatami, Sapieżyński

naprzeciw kolegium pojezuickiego, Sanguszkowski naprzeciw Wizytek w gruzach, większa liczba klasztorów w części tylko zamieszkała. Cóż mówić o bramach krakowskiej, żydowskiej, i bramy i mieszkania na nich zwałiskiem groziły. A kiedy chrześcijańskie ulice i rynek były w tak oplakany stan, łatwo sobie wystawić, czem było przedmieście żydowskie i cała jego ulica, jedna od Tatar, druga od spalonego i opustoszałego Zamku prowadząca, przy którym dom lichy mieścił archiwum Grodzkie, skład obywatelskich majątków, bo ziemskie i trybunalskie w dominikańskim klasztorze, jako w komornem spoczywało. To przedmieście żydowskie, złożone z kamienie spalonych i z karczem drewnianych tonęło w błocie, w kałużach i śmieciach, które niechlujstwo tego ludu w ogromnych kupach, jako starożytną spuściznę zachowywało i powiększało. Prócz rynku, żadna ulica nie znała bruku. Od ulicy Pojezuickiej nie można się było dostać suchą nogą do ratusza, trzeba się było na koniu babrać i zabryzgiwać, bo pojazdem dla kałów i bojaźni wywrotu, pnszczać się było niebezpiecznie. Ojciec mój sprowadził sobie ze wsi wielkie i grube ławy, czyli pokłady, któremi kazał usłać trotuar pod murem szkolnego gmachu, aż do pustej przechodniej kamienicy Stoka aptekarza, o czem mówiono, jak o rzeczy nadzwyczajnej i nazwano je Koźmianowskiemi ławami. Żadnej policji w mieście, żadnej straży od ognia, i żadnych narzędzi, chociaż był magistrat, który się w lichej kamienicy własnej na Kapitulnej ulicy mieścił, a starosta lubelski miał obowiązek czuwania nad porządkiem i bezpieczeń-

stwem. Był nim podówczas Jan Zamojski, wojewoda podolski, lecz ten spierał się i kłócił z wojewodą lubelskim, księciem Antonim Lubomirskim, o propinacyę i jurysdykcyę nad żydami, których jego oficyaliści obdzierali, a o pomyślności miasta żaden z nich nie myślał. Tak, że w rok później król Stanisław August, jadąc do Wiśniowca przez Lublin, znalazł zakazane przez siebie bramy tryumfalne, a nim się dobrał do ratusza, z landarą uwiązał w błocie przed brama Świętoduską, że go nawet cugi marszałka Olizara wyciągnąć nie mogły, aż zaprzęgano woły.

Żadna ulica nie miała latarni, ledwie przed ratuszem dwie się tylko paliły. Idący pieszo ułóżsi nosili latarki ze świeczkami, lub niemi posługiwali. Noszono buty safianowe, żółte, czerwone lub zielone, a trzeba było w nich po błocie deptać i suknie zaszargiwać. Za pojazdami zwykle stawało dwóch lokajów lub hajduków z zapalonymi pochodniami, przed pieszemi służący niósł płonąca pochodnię. Otrząsali je o rogi kamienie, lub uderzali niemi w drewniane baryery dla lepszego rozjaśnienia. Kawaly rozpalonej smoły długo potem gorzały na ulicy, ztąd dym i para. To jedno było światło, które ciemne, błotniste i po części drewnianemi domami poprzecinane ulice oświecało; między cuda policzyć należy, że się kiedy pożar nie wszczął.

Dopiero Kajetan Hryniewiecki, wprzód kasztelan kamieniecki, a potem wojewoda lubelski, mąż prawy, nieskażony i czynny, wielką usilnością, wytrwałością i pracą wy dobył to opuszczone i nieszczęśliwe miasto z rozwalin, z popiołów i błota

On, stanąwszy na czele komisji *boni ordinis* i wezwawszy do niej majątniejszych obywateli tak ziemskich, a własności swoje w mieście posiadających, jako też miejskich, wynalazł, uporządkował, powiększył dochody dotąd rozdzielane, tak miejskie, jak kachalne. Ulice głównejsze w trzech latach, a uboczne po kolei wybrukował, rynek z gruzów oczyścił. Zachęceni przez niego mieszczanie kapitaliści, zaczęli puste zwaliska i place kupować. Wzniosła się zaraz z ułomków kilku kamienie jedna obszerna przez Heizlera kupca sukienego i bankiera o kilkunastu oknach i trzech piętach wymurowana, druga podobna, przedzielona od niej uliczką, narożna, jak pierwsza, Finka i Piaskowskiego. W połaci ku bramie rybnej Webera i Korna, na innej połaci Moraczewskiego, z balkonem; zgoła w kilku latach z kamienie, pałaców, znikły gruzy i ślady pogorzeliiska. Wdzięczne miasto zachowało w magistracie portret swego dobroczyńcy i odnowiciela. Obecne pokolenie, nie wiem, czy o imieniu jego słyszało. To, co zaczął Hryniewiecki, rząd dopiero Królestwa Polskiego, po poczwórnem tego miasta za czasów austriackich pogorzeniu naprawił. Za pamięci mojej młodości, jeden tylko był na rynku znakomity sklep sukna bankiera i kupca Heizlera; dwa korzenne Finka Piaskowskiego i Webera, którzy się także wekslowaniem pieniędzy trudnili, trzy sklepy i szynki win węgierskich, dwóch Makarewiczów i Stefanowskiego; ci trzej w stroju polskim chodzili, ale bez szabel. Jeden sklep bławatnych materii i galanterii Gautiego. W pustych kamienicach na dole, kilka sklepów Greków z bakaliarni

i świeżemi wschodnimi owocami. Na Korcach i Krakowskiem przedmieściu, także kilku Greków i składy obszerne win węgierskich, i dlatego handlujących niemi, Węgrzynami nazywano. Nie można się dziwić, że te składy win były najliczniejsze, bo na tego rodzaju towar najwięcej było odbytu. W całym mieście dwie tylko były apteki: pojezuicka w klasztorze, zarządzał nią braciszek Lewandowski, posiadający wielką u mieszkańców ufność, tak że w niego, jak w doktora wierzono i częściej, niż prawdziwych doktorów używano. Druga była, niejakiego Sztoka, Niemca, której strzegły córki jego w leżącej w gruzach ojca kamienicy. Sam zaś aptekarz z postaci Ezop, pijak tak wstawiony, że podobno od niego poszło przysłowie „pijany jak Sztok”, szarlatan, kuglarz. Że chodził w wielkiej peruce, w czarnych staroświeckich, niemieckich sukniach, z wielką w mosiądz okutą laską, i niesłychane o swojej sztuce i o cudach przez siebie dokazanych, na różnych chorych, kłamstwa i duby prawił, miał swoją wziętość u łatwowiernych i ciemnych. Pięciu atoli było doktorów z obcych narodów, żadnego jeszcze Polaka. Pierwszy Kompers, stary dziekan wszystkich doktorów, podobno Szkot, czy Irlandczyk, mający wielką słynność i praktykę. Chime-ryk, lecz majątny, umierając zapisał sumę 40,000 złotych polskich na konwikt uczniów. Burian, Francuz, Herman, Niemiec, którego są dzieła drukowane, Bandtkie, Niemiec, ojciec dwóch uczonych synów, z których jeden w Krakowie, drugi w Warszawie za obecnych czasów, pierwszy w historii i w bibliografii, drugi w nauce prawa wstawili się, piąty na-

koniec Bergonzoni, Włoch, którego potem wziął do siebie hetman Branicki i mianował sztabs lekarzem. Miał on wtedy bardzo piękną żonę. Za rządów pruskich przeniósł się do Warszawy i tam w późnym wieku umarł.

Dodać winienem, że w całym mieście tak uczęszczaniem, nie było żadnej oberży, żadnej restauracyi, żadnej cukierni, żadnego zajezdnego domu. Przy bramie krakowskiej była w małej kamieniczce mała izdebka, którą kawiarnią nazywano, tam staruszka nazwiskiem Jonesowa szynkowała kawę, na którą uboższa palestra ucześniezała, bo każdy z poważniejszych obywateli sądziłby ubliżyć swojej godności, gdyby go w oberży, w sklepie, lub na jarmarku spotkano. To mniemanie wrośniętem było w obyczaj. Za to karczmy zajezdne tuż za przedmieściami, wybudowane żydowskie miasto, i dworki obywateli ziemian drewniane, i między ubocznymi ulicami rozrzucone, dostarczały przejeżdżającym umieszczenia. W pomoc przychodziły im Piaski i Wieniawa. W mieście po kamienicach pełno było szynków piwa i wódki, w których liberya się raczyła, i często dla krzyków i hałasów przez obchodzące po mieście ronty wojskowe, w ciemną porę, na odwach zabieraną była.

Czytający ten obraz Lublina mógłby się mnie zapytać, jak się w tak opustoszałem mieście mogła pomieścić przez większą połowę roku cała szlacheczka Polska, zjeżdżająca się na sprawy, liczny trybunał, sąd ziemski i grodzki, palestra, dependenci i młodzież z całego kraju. Gdzie się odprawowały te uczty, te bale, te sejmiki? Odpowiem. Marszałek

trybunału, zajmował dom pijarski, który miał kilka pokoi i jedną wielką salę, po której sześciokonnym pojazdem wykręcić można było. Prezydent zwykle stawał w obydwóch kamienicach Makarewiczów, lub w pałacu Potockich, który teraz na sąd kryminalny przerobiono. Deputaci, przybywający z żonami, mieścili się po lepszych kamienicach, bezzenni po klasztorach. Inni przyjmowali umieszczenie, jakie znaleźć mogli, choćby pod strychem. Uczty, obiady, obchody odbywały się albo w refektarzach klasztornych, lub w obszernych korytarzach. Panom, którzy przejeżdżali na sprawy, gospodarze za hojnym wynagrodzeniem ustępowali swoich pokoi i inni mieścili się w swoich domach, pałacami nazywanych, lub po dworkach, które utrzymywali. Inne też były obyczaje, inne nawyki, inna skromność życia, inne wymagania. Uczty dawano wspólnie, lecz codzienne życie było oszczędne. Przecież bywały reduty w domu niby w pałacu paryskim, był nawet teatr, który miasto wystawiło na Korcach, szczupły wprawdzie i nietynkowany, z łozami, lecz bez galeryi, gdyż liberyi i pospólstwa do niego nie wpuszczano. Mógł pomieścić 300 osób. Pierwsi aktorowie warszawscy zjeżdżali i grali sztuki, operetki; nie wstydziła się na nim występować Truskulawska, Świeżawski i Owsiński. Ogród do spaceru był tylko jeden, przy pałacu Potockich, obszerny, lecz bez cienia, ledwie sadem mógł się nazwać. Kto chciał świeżego powietrza użyć, wyjeżdżał konno, lub szedł piechotą za miasto. Nie pomnę, aby kobiety spacerowały wspólnie z mężczyznami po ogrodzie. Zwykle wyjeżdżały

pojazdami; żadna matka tam córki nie prowadziła, gdzie się męzka młodzież gromadziła. Na reduktach bywały tylko obywatelki z miasta i młodzież palestrancka. Poważni ludzie tam nie postali. Graczków, szulerów było pełno, i banki zakładano, młodzież się zgrywała. Fabrycy Miączyński, Włodek, Janikowski, w faraona popisywali się z swoim talentem. U ojca mego na jednym festynie poznałem + owego sławnego zapaśnika kielichów, generała adjutanta Konarzewskiego, w polskiej sukni, wysokiej, otyłej postaci, na głowie łysej, mały kosmyk się tylko strzępił, trzymał kielich w ręku, czerwony był, jak rydz, a z łysiny gdyby z komina mu się kurzyło.

---

**Wspomnienia ze szkół Zamoyskich,  
rok 1781—2—3—4.**

---

Jako ucznia uderzył mnie najprzód gmach akademicki, wielki czworogran z dziedzińcem w środku, z bramami i wehodem od obszernego placu, na którym stał pałac Zamoyskich, a naprzeciw niego kolegiata i wychód na Franciszkańską ulicę. Gmach ten dwupiętrowy z wielkimi oknami, na dole sklepiony, mieścił szkoły i mieszkania professorów, do których wchodziło się przez obszerne korytarze sklepione. Te podówczas zawalone były fasami i beczkami mąki wojska austrijackiego, których strzegli szyldwachy. Do szkół obok tych składów ledwie się można było przecisnąć. Na drugim piętrze były ogromne sale nazwane sztubami, czdobione na około ścian, na dwa stopnie ławkami polewanymi, z wyłoczonemi brzegami. Na środku

stały dwie naprzeciw siebie katedry, przeznaczone do teologicznych i filozoficznych dysput, a łączyły je ławki dla emerytów, kanoników i profesorów. Pamiętam kilka świątecznych w tych salach uroczystości, to jest elekcją rektora, dysputy i examina uczniów. Rektor wchodził ubrany w ponsową aksamitną, z szerokimi złotymi galonami oblamowaną togę, w złotym łańcuchu, czyli distinctorium kanonicznem i w mucecie fioletowej z gronostajami, w birecie na głowie. Poprzedzali go wyżsi nauczyciele i kanonicy w togach czarnych kamlotowych, z karmazynoweni z kitajki wyłogami, w mucetach według godności pensowych z galonami, lub fioletowych aksamitnych z gronostajami, tych poprzedzali profesorowie niżsi w podobnych togach, a profesorowie gramatyki i infimy klerycy w półtogach bez wyłogów, z spuszczonej od łokciów rękawami, ten cały szereg poprzedzało dwóch bedelów w niebieskich sukiennych togach, trzymając w rękach dwa berła srebrne z koronami u wierzchu, zapewne jeszcze przez Jana Zamoyskiego sprawione. Gdy wszyscy zasiedli swoje miejsca, zaczęły się oracye w języku łacińskim. Rektor składał na stole pieczęć akademicką, insignia, rozbierał się z togi, składano je na taburecie i po mowach pochwalnych i dziękczynnych, przystępowano do wyboru nowego rektora, przez wota sekretne, w wielką urnę marmurową rzucone. Po przeliczeniu wotów przez najstarszych profesorów i kanoników ogłaszano nowego rektora, ten natychmiast ubierał się w togę aksamitną i odbierał insignia. Znowu nastawały mowy i powinszowania, już i szkoły występowały z oracia-

mi, za co parę dni rekreacyi otrzymywały. Nowy rektor zwykle dawał ucztę dla członków akademii i reprezentantów szkół, wybranych pomiędzy studentami, po jednym z każdego oddziału. W podobnym sposobie odbywały się coroczne egzamina, przy zalimitowaniu szkół. Z uroczystości szkolnych najświętniej odprawiała się na świętego Jana Kantego, patrona akademii, który miał oddzielną swoją kaplicę w kollegiacie Zamoyskiej. Studenci szli porządkiem szkół na nabożeństwo, wieczór odbywali procesję z jarzącymi świecami do kaplicy świętego, gdzie wybrani z nich śpiewacy nucili na głosy hymn łaciński o św. Janie Kantym; ta sama ceremonia wznawiała się na Najświętszą Pannę Niepokalanego Poczęcia. Wieczorem zwykle, studenci z bursy obchodzili mury akademii i do północy śpiewali pobożne pieśni. W bliskości murów akademickich był odwach austriackiego garnizonu, nieprzyjemny widok raził nie raz młode serca, gdyż przed nim często przypasanych do łańki niemiłosiernie bito w dwójnasób kijami; a na placu od akademii, aż do kościoła, między dwoma szeregami, przepuszczano winowajców przez różgi przy odgłosie piszczałek; raz spojrzawszy na zbroczone krwią plecy żołnierza, który kulę gryzł w zębach z bólu, ledwie nie zemdlałem.

Kollegiata Zamoyska, świątynia wyniosła i piękna, zarządzana wówczas przez infułata Trembińskiego, nosiła znamiona zaniedbania tak w kaplicach, jako też w ołtarzach. Wtedy dopiero zaczęto myśleć o wydobyciu jej z kurzu i z opustoszenia, kaplica Zamoyskich obita była aksamitem karmazynowym,

w bryty tego koloru i żółtego, lecz tak już wypłowiałego, że się do siebie obie barwy zbliżały. Na tem obiciu po lewej stronie ołtarza zawieszono były portrety rodziny Zamoyskich, zaczawszy od wielkiego Jana aż do Klemensa. Wszyscy przedstawieni byli w ubiorach właściwych wiekowi, w którym żyli. Jan Zamoyski hetman w takiej postaci w jakiej go powszechnie malują, w zbroi, w szkarłatnej ferezyi z futrem z ramion opuszczonej. Tomasz podobnie, lecz już z głową ostrzyżoną. Jan wojewoda sandomierski z wygoloną głową, z seledcem na jej wierzchu, w pancerzu i w ferezyi. Następnie Marciu, Michał, w strojach podobnych. Tylko Klemens młody w ubiorze francuskim i w garniturze ponsowym, złotem haftowanym, z głową ufryzowaną w niski tupet i loki. Najwięcej mnie uderzył Jan Zamoyski, nie hetman lecz wojewoda sandomierski, a to dla tego, że zapytany zakrystyan, nazwał go po dawnym przysłowiu goły Janek. To przysłowie poszło zapewne ztąd, że był najbogatszym panem w Polsce, bo posiadał po ojcu ordynacją, dobra i starostwa, a po matce ordynacją Ostrogoską. Deptałem marmur, który przytłaczał wejście do grobu Jana Zamoyskiego; litery na nim mosiężne w wielkiej części wylupane lub postrącane były, po ich śladach ledwie wyczytać można było napis, który sobie sam ułożył: *Hic situs est Joannes Zamoyski*. Wiemy wszyscy, że ten wielki człowiek, za swoje wielkie zasługi prześladowany i znękaný niewdzięcznością ziomków, w żalu dodał był do wyżej wspomnianych słów: *Plurima pro civibus, graviora a civibus passus*, lecz potem wzniósłszy się nad urazę, zmazał te wy-

razy. Czytałem jego napisy na bramie: *O patria quam mihi cara* i t. d., a nikt mnie nie nauczył kto był Jan Zamoyski. Nie uczono historii polskiej w szkołach, pewnie jej sami profesorewie nie umieli, a sędziwi kanonicy tak byli niedbali czy obojętni, że o życiu fundatora ich dobrego bytu przed uczniami nie wspominali. Był i jest dotąd w kościele kollegiaty sławny obraz zwiastowania Najświętszej Panny, sprowadzony przez Jana Zamoyskiego, cudownym pędzlem oddany, jest drugi podobnego pędzla św. Mikołaja. Stały obydwie przykurzone, niezycich oczów nie zwracały na siebie, dopiero Stanisław ordynat Zamoyski wartość ich ocenił, znawcom je ukazał. Któż się nad tą niesłychaną obojętnością i niedbałością owych czasów nie zadziwi.

Drugi ledwie nie wspanialszy był kościół księży Franciszkanów na ulicy lwowskiej, wzniesiony przez Zamoyską, z domu księżniczkę Ostrofską. Ołtarze w nim były wspaniałe i bogate, klasztor niewielki. Uczęszczaliśmy do niego na nabożeństwa. Były jeszcze klasztory i kościoły schludne Reformatów, Bazylianów i pańien miłosiernych. Pałac ordynacki był wspaniały z dziedzińcem, balustradą żelazną otoczonym, z dwoma bramami przedzielającymi oficyny i gmach pałacowy od wałów, które były w dobrym stanie jak fosy. Przy obydwóch bramach, krakowskiej i lwowskiej, były mosty zwodzone na łańcuchach. Na ulicach za rynkiem było wiele dworków drewnianych, niektóre o dwóch piętrach. Na przedmieściach żydostwo i karczmy zajezdne.

Ordynatem był podówczas Jan Zamoyski wojewoda podolski, mieszkał zwykle w Łabuniach gdzie

miał piękny pałac, czasem tylko przyjeżdżał do Zamościa. Uderzyła mnie jego postać i wystawa jego dworu. Jeździł zwykle sześcioma bardzo pięknymi końmi, gdyż w tych się kochał, poprzedzał go lub otaczał liczny orszak sług i dworskich i na dzielnych koniach pokojowcy. Hajducy dorodni wzrostem, równie jak woźnica, mieli liberyę całą ponsową z granatowemi wyłogami, szerokiemi srebrnemi galonami obłożoną. Sam był wysokiego wzrostu, twarzy ściągłej i poważnej, włosów już osiwiałego, wąsów dużych białych. Nosił się po polsku w aksamitach, w mówieniu się nieco zająkiwał czyli raczej zaciął, słaby był na nogi i na trzecinie się opierał, buty miał aksamitne czarne. Raz mu się dobrze przypatrzyłem, gdy zjechał umyślnie do Zamościa, a za nim przyprowadzono liczną psiarnię chartów dla szczucia wilka, którego w dół złapano. Tę hecę dla widzów wyprawił na dziedzińcu zamkowym. Siedział na wielkiem krześle, otoczony liczną asystencyą dworaków. Wypuszczono wilka, a na niego kilka smyczy, białych dorodnych chartów. Długo szarpały go i darły psy, lecz gdy go udusić nie mogły, a wilk je kaleczyć zaczął, na ich skowyk rozgniewał się i kazał go kordelasem dobić. Ten to jest Zamoyski Jan, szwagier króla Stanisława Augusta, który zięciowi swojemu Wincentemu Potockiemu podkomorzemu koronnemu, panu na Brodach, odstąpił w posagu starostwo lubelskie. Stanisława Augusta nie lubił, nie mógł nawyknąć do czci tego, którego zaszczytem być mniemał, że się ozłocił spowinowaceniem z rodziną Zamoyskich. Żył już wtenczas w separacyi z żoną. Najszczęśli-

wsi byli u niego po dobrach ekonomowie, którzy mieli młode i ładne żony. Dowód jego zuchwałego postępowania z królem opowiadał mi mój ojeiec. Król na prośby siostry, napisał list do niego w tych słowach: „Uprzejmie nam miły mości panie wojewodo podolski i kochany bracie. Siostra nasza a żona wasza życzy sobie wyjechać za granicę na wojaż, wzywamy uprzejmości waszej o zezwolenie i ułatwienie jej tej podróży”. Zamoyski podpisał: „Najjaśniejszy miłościwy królu i kochany bracie! Siostra wasza a żona nasza niech jedzie za granicę na wojaż, lecz pieniędzy nie mamy, bo nie mamy”. Powiadał mi Joachim Owidzki, że w archiwum zamojskiem ma się znajdować list a raczej patent na hrabstwo dla tego samego Jana Zamoyskiego wojewody podolskiego, w którym mają być umieszczone następujące słowa: „*Quod Fortalitium Zamoyscense, neque Russis circa eum haerentibus, nec Reipublicae Poloniae, sed nobis ob singularem erga nos devotionem tradidisti, Vos Comitem Sancti Romani Imperii nominamus:*” Czy się takie wyrazy w patencie znajdują czy nie, nie to doświadczonej i nieskażonej enocie imienia Zamoyskich nie ubliża; wiadomo, iż rządy państw, które dzieliły Polskę, zwykły były narzuconemi łaskami najwierniejszych Ojczyźnie obywateli u ziomeków ohydzać. Żaden Zamoyski o zagraniczne hrabstwo nie starał się. Będąc ordynatem był on więcej jak hrabią. Jan wojewoda podolski dotrzymał fortecy, broniąc jej przeciw Rosyanom i własnym garnizonem i osobą swoją. Austryjakom oddał ją bo musiał, gdy na sławnym sejmie Ponińskiego rzeczpospolita odstąpi-

ła Zamościa dworowi cesarskiemu. Wnosić raczej należy, że nienawiść Zamoyskiego do króla pochodziła z przywiązania jego do Ojczyzny i z żalu, iż i siebie i połowę dóbr swoich ujrzał odciętych od ciała rzeczpospolitej.

O trzy mile od Zamościa pamiętam zwierzyńiec, obszerny na milę i cały oparkaniony do koła, do którego strzeżenia były pewne wsie przeznaczone. Tam utrzymywało się mnóstwo zwierza różnego rodzaju jako to: jelenie, sarny, daniele; krwiożercze, jeżeli się przypadkiem znalazło, wytępiano. Niedźwiedź raz się wdarł przez parkan, zaraz go ubito. Chowaly się tam i mnożyły dzikie konie, które widziałem. Postać ich mała jak koni włościańskich, lecz osiadłe, krępe i z grubą lecz gładką nogą, siły wielkiej, sierci jednakowej karo-myszatej. Dopiero je w nieodległych czasach wygubiono, podobno dla tego, że w zimie potrzeba było dla nich szopy sianem opatrywać.

Drugiego roku moich szkół, Jan Zamoyski rzekł się ordynacyi na osobę brata swego młodszego Jędrzeja Zamoyskiego tak słusznie w kraju wsławnego ekskanclerza wielkiego koronnego. Ten wraz z żoną Konstancyą z domu księżniczką Czartoryską z linii koreckiej, wdową po Klemensie ordynacie, który na konwulsye w młodym wieku umarł i z dziećmi jeszcze drobnymi ciągle zamieszkał w Zamościu. Dwór jego był przystojny lecz skromny, nie było galonów na liberyi granatowej, lecz zaczął być porządek w dobrach, a w domu przyzwoita oszczędność. Była to zasługa samej pani Zamoy-

skiej, która znacznie młodsza od męża (gdyż ten już zapewne 70 lat dochodził) wzięła na siebie ciężar interesów i gospodarstwa nie tylko w ordynacji, lecz we wszystkich rozległych dobrach dziedzicznych Jędrzeja Zamoyskiego. Sam starzec poważny, jak mędrzec i filozof wybrał spokojne i niekłopotliwe życie, jedno tylko zostawiał sobie zatrudnienie dobrze czynić ludziom. Ktoby chciał dobrze go poznać ze szczegółów jego życia, niech przeczyta pochwałę jego przez Stanisława Staszica napisaną, w towarzystwie przyjaciół nauk na posiedzeniu czytana i w tomie IV dzieł jego umieszczoną, tem nie podejrzającą, że przez filozofa demokratę kreśloną, który znał z bliska i przypatrzył się sprawom i osobie tego w swoim czasie najznakomitszego męża w Polsce. Obecne plemię czyli nieciekawe, czyli przez nowe swoje wyobrażenie nienawistne przeszłości, chętniej by pisało i czytało żywoty bohaterów rewolucyjnych, przywódców stowarzyszeń demokratyczno-socjalnych, aniżeli Zamoyskich lub Kościuszków; rozprawia o narodowości, a ciągle się wynaradawia z cech i znamion swojego rodu. Staszcie acz demokratą, ale oświecony i kochający nie siebie, lecz ludzkość, inne miał wyobrażenie o narodowości i to na ostatniej kartce tego tomu skreślił. Nie nawidził on feudalizmu, kast, przywilejów, lecz bezwzględnej równości jako niepodobnej nie przypuszczał, uznawał tylko równość w obliczu prawa. Choć sam się nie urodził szlachcicem, uszlachetnił się rozumem, cnotami, nauką, miłością kraju. Nie szlachectwa nie cierpiał, lecz szlachty a raczej występnych w tym stanie osób. Nikomu ze znakomitych

ludzi, ani lichego urodzenia za zaletę niepoczytywał, ani za wstyd i winę świętego, jeżeli od zasług przodków niewyrodnych potomków znalazł. Tym to duchem technie wyżej wspomniana pochwała. Ja do niej dodam tę małą wiadomość, że gdy Jędrzej Zamoyski, po doznanej niewdzięczności i zapamiętałości ziomków, oddalił się do Zamościa, szlachta spostrzegła się w swoim błędzie i otoczyła go czcią i uszanowaniem. Ordynacya Zamoyska miała wtenczas sprawę graniczną z dobrami Radzięcin. Zamoyski, jako stróż *fidei comissum*, nie mógł żadnej części ziemi bez sądu odstąpić (coby chętnie chciał był uczynić dla zaspokojenia upominających się). Zjechał więc sąd podkomorski dla odgraniczenia ordynacyi od dóbr Radzięcina. Na czele jego był Tomasz Dłuski podkomorzy lubelski, starzec siedemdziesięcioletni, świadek na sejmie i uwielbienia i potępienia tego Arystydesa polskiego. Jędrzej Zamoyski wyjechał na granicę ordynacyi dla zaprzysiężenia kupców narożnych według przepisów prawa. Gdy się zabierał do przysięgi, strona, liczni sąsiedzi, szlachta, świadkowie, krzyknęli razem: nie potrzeba przysięgi, przestajemy na przyznaniu tak poważnych i enotliwych ust, a podkomorzy lubelski w dekreście zapisał te słowa: „*In hoc scopulo Illustrissimus Andreas de Zamoscie Supremus Ex Cancelarius Regui, qui opressa patria, ne gravem ejus tractatum sigillasset, sigilla regni abdicavit, juramentum explere voluit. Sed pars, et tota praesens nobilitas polona, ob respectum et reverentiam tanti viri testimonio verbis, non juratu fida, a juramen-*

*to liberavit, et hoc suo passu, supremi tantae virtutis cultus, sibimet testimonium praeibit<sup>n</sup> 1).*

Jędrzej Zamoyski był wzrostu niewielkiego, miernej i silnej postaci, twarzy poważnej, powierchownie surowej; nosił perukę w loki fryzowaną, suknię szaraczkową sukienną, staroświecką, niemiecką modą skrojoną, nad butami nadkolanka białe. Powszechnie wychodził rano o wschodzie słońca, z jedynym służącym na przechadzkę za miasto, i z psem legawym, białym, rosłym, zawsze przed jego łóżkiem sypiającym, ulubionym jego faworytem od czasu jak ten pies w nocy rzucił się na złodzieja, zakradającego się do łóżka, i uchwyciwszy go za gardło, póty trzymał pyskiem, póki ludzie przebudzeni wołaniem pana, nie ujęli złodzieja czy zbójcy. Przechadzając się, zawsze miał w kieszonkach kamizelki pełno monety srebrnej, którą napotkanym obogim rozdawał. Miał wtedy lat zapewne 70. Widziałem go później w lat kilka, w dzień jego święta, goszczącego w Żółkiewce u Stamirowskiego, starosty krasnystawskiego, gdzie cały dzień przepędził, i na noc dał się namówić. Byłem z ojcem moim przytomnym i przypomniany mu zostałem jako uczeń

---

1) Na tym kopcu Jaśnie wielmożny Jędrzej na Zamościu, były wielki kanclerz koronny, który za uciśnionej ojczyzny, aby ciężkiego dla niej traktatu nie przypieczętował, pieczęć koronną złożył, przysięgę chciał wykonać. Lecz strona i cała obecna szlachta polska przez cześć i uszanowanie dla takiego męża, świadectwu słów nie przysięgi ufa, od zaprzysiężenia uwolniła, i tym czynem najwyższej takiej cnoty czci sobie sama świadectwo złożyła.

ze szkół Zamoyskich. Był uprzejmy, wesoly, żartobliwy, zgoła takim, jakim go Staszic przedstawia, twarz jego w towarzystwie nabierała wyrazu dobroci i słodyczy, która w duszy jego mieszkała. Gdy obiad przy świecach się skończył, w zmroku nocy wybierał się do wyjazdu, proszony na nocleg wymawiał się długo, lecz potrafił skłonić Joachima Owidzkiego, nieodstępного jego towarzysza, aby go namówił do pozostania na noc. Przysłał, mówiąc z uśmiechem do niego: „panie kochany (to było jego przysłowie) ty mnie chyba wymówisz przed moją żoną, żem tu nocował z białą głową“. Portrety jego szczególnie suchemi farbami robione, są do niego niezmiernie podobne.

Że ojciec nasz był przyjacielem Zamoyskich, a Jędrzeja ekskanclerza uwielbiał, ile razy był w Zamościu prowadził nas do pałacu. Ztąd na święty Jędrzej i na świętą Konstancję, imieniny obojga, dawali nam profesorowie oracye polskimi wierszami, któreśmy imieniem szkół odmawiali. Szkoły w te dni stawiały się z profesorami do pałacu, którzy zapraszani bywali na obiad, a studenci uraczani rekreacją. W tego rodzaju święta, poznałem brata rodzonego pani Zamoyskiej, książećcia stolnika Czartoryskiego z Korca, pana rządowego, cnotliwego, oświeconego, ludzkiego. Był on wielkim ojca mego przyjacielem i w ciągłej z nim zostawał korespondencyi. W owych czasach księżna Aleksandrowa Sapieżyna, która w tej chwili zapewne niedaleka osiemdziesięciu lat życia, była panienką czterystoletnią. Aleksander i Stanisław jeszcze z dzieciennego wieku nie wychodzili, trzeci ich brat nie wiem

czy najmłodszy czy średni, umarł wtedy na ospę czy szkarlatynę, chociaż go sławny lekarz Kostrzewski leczył. Pani Zamoyska dochodziła już wtedy zapewne lat 50; ubierała się skromnie z fryzurą. Twarz miała nieco na skórze czerwonawą, składem do brata księcia stolnika podobną, którego dziś postawą Stanisław ordynat Zamoyski przypomina.

---

**Wspomnienia ze szkół wydziałowych lubelskich.  
Rok 1784—5—6—7.**

---

Wiele nieznanych mi dotąd widoków uderzyło mnie w tych czterech latach, w których do tych szkół uczęszczałem. Najprzód częste objady, iluminacye, strzelania z moździerzy i z ręcznej broni na ucztach przez marszałków i prezydentów wyprawianych, na uroczystościach rocznic, urodzin, imienin, koronacyi imperatorowej rosyjskiej i króla Stanisława Augusta, oraz na imieniny marszałków i prezydentów, na których to obchodach zwykle batalion regimentu Czapskich w szeregi rozstawiony na rynku, przed kamienicą prezydenta, lub na dziedzińcu pałacu pijarskiego, za danym sobie z okna przez podchorążego znakiem o kielichu wzniesionym, za zdrowie solenizanta plutonami ognia dawał.

Uderzyły mnie więcej trzy sceny, których byłem świadkiem; pierwszą wyprawil Ksawery Branicki, hetman Wkoronny, drugą Michał Granowski, sekretarz Wkoronny, trzecią biskup abderytański

i official lubelski, bogaty prałat Lenczewski. Pan hetman zjechał do Lublina na sprawę z książętami Jabłonowskimi o Lisiankę i Luboml; a że była zła sprawa mimo jego Achatesów, których miał w trybunale, nie poszła według jego woli. Uraczał się właśnie na Krakowskiem Przedmieściu z swoimi przyjaciółmi, gdy mu znać dano o wyroku sądu. Na to zawołał: „pójdźmy szukać pocziwych ludzi“ i natychmiast w dzień biały zapalono dwadzieścia cztery pochodnie, i pan hetman na czele całej liczonej czeready udał się z wizytą na ratusz, w którym jeszcze sąd główny odbywał swoje posiedzenie. Już się zbliżył do ratusza, już odezwały się bębny i warta broń prezentowała, gdy marszałek uwiadomiony odwołał sesyę, a deputaci jurgieltowi przez pana hetmana połączyli się z nim na rynku. Przeciwnicy zaś tylną bramą ratusza rozpierzchnęli się po domach. Pan hetman zaś, odbywszy procesyę po rynku, wrócił do swego mieszkania uraczać się ze swymi przyjaciółmi.

Michał Granowski sekretarz wielki koronny, był pan znakomity i przez majątek i przez pokrewieństwo z domem Czartoryskich, a zatem i z królem Stanisławem Augustem. Oprócz znacznych dóbr w Litwie, posiadał w lubelskim Garbów, starostwo przybysławskie po księciu kanclerzu Czartoryskim jako rodzony siostrzeniec samej księżny, oraz starostwo tarnogórskie w ziemi chełmskiej. Był także spowinowacony z Radziwiłłami i Pociejami, gdyż miał za sobą Radziwiłłównę.

Przemieszkiwał często w Przybysławicach w wielkim domu drewnianym, przez księcia kanc-

lerza wystawionym, aby być bliżej dworu i trybunału. Lubiony od króla, a z swojego sposobu życia i popularności w lubelskiem przydatny do wpływów na umysły obywatelskie, używany był wraz z Onufrym Kiekim starostą ryckim do kierowania sejmikami lub popierania w trybunale stron, które się trzymały dworu, i zjednały sobie protekcję królewską. Granowski był to pan z młodości dobrze wychowany, służył w wojsku austryjackiem, z którego dla jakiejś awantury dezertował. W ojczyźnie dostał zaraz znakomitych godności i orderów. Piękny z twarzy, urodziwej postaci, wzrostu wysokiego, siły ciała nadzwyczajnej, miał wszystkie przymioty i wady podobające się obywatelstwu, popularny, grzeczny, odważny; stawić się, wystrzelać, wybić na pałasze było dla niego igraszką; lecz nalepiej władał kielichem, mógł się być tą bronią z sławnym Konarzewskim mierzyć, nie z nałogu, lecz przy wydarzonej sposobności; a te się często zdarzały. Gdy przepełnił miarę trunku, napadała go mania rozbierać się w pół nago, i przymuszać współbiesiadników aby, to samo czynili, i mówił wtenczas: „Ja Amerykanin“ kiedy był przy nim Onufry Kieki, ten sam, który za kongresowego królestwa został senatorem wojewodą, podobny wzrostem i siłą do swego przyjaciela, hamował się czasem w tym zapędzie manii, lecz gdy się Kieki nie znajdował, nikt się nie odważył sprzeciwić się rozgorzałemu winem panu, i trzeba było być posłusznym, lub uciekać.

Jednego razu zjechał był właśnie do Lublina, za forszą jakiejś sprawy, było to w czasie przedsej-

mikowym, gdy się już było zebrało wielu obywateli, i z drobniejszej szlachty. Nie potrzeba było i tej okoliczności, sam Lublin dostarczał i z palestry, i z mieszkańców, i z blizkich sąsiadów ochotników, którzy się za węchem wina do pieczeni pańskiej, gdzie się tylko Granowski zjawił zbiegali. On też sam troskliwie szukał i zapraszał takich, co jego kielichom wydołali, a miał dwa wielkie, jeden nazywał się orłem, który w oburącz trzymać potrzeba było, gdyż brał w siebie pięć butelek wina, drugi niższy na krótkiej podstawie i dlatego kaczka nazwany, mieścił w sobie trzy butelki. Był podobowczas w Lublinie niejaki Konrad Badowski obywatel wojewódzki, dawnego pisarza grodzkiego syn, mecenas drugiej klasy, człowiek niezmiernie otyły, postaci ogromnej, dowcipny jowialista owego czasu, wymowny w facecyach i żartach, śpiewający bardzo przyjemnym głosem, mogący jedynie mierzyć się z temi kielichami, a zatem zawsze pożądany gość na ucztach tego pana. Ten tedy sekretarz w. koronny, Granowski, wygrawszy przeforsowaną przez siebie sprawę, zaprosił do siebie na obiad cały trybunał, z którego tylko prezydent nie stawił się gdyż był w lekarstwie. Przy stole chodziły liczne kielichy, gdy się marszałek i deputaci oddalili na popołudniową sesję, okazała się w dłoni Granowskiego kaczka, a potem orzeł, i wkrótce objawiła się mania Amerykanina: „Kto mnie kocha, to samo zrobi, co ja”, i z kielichem w ręku wyszedł na ulicę na pół nago, z koszulą zawiązaną u pasa. Gdy przyjaciele przystojnie ubrani i schludnie noszący się, zaczęli na to hasło zrzucać z siebie ubiory, po-

częła się dezercya tych wszystkich, szczególniejszej uboższej szlachty, którzy poczuwali się do nieporządku i niechlujstwa pod długą polską suknią ukrytego, ale hajducy i lokaje na rozkaz pana chwytali uciekających, obnażali, a sami współbiedniacy, jedni przez pustotę i żartobliwość, drudzy przez gorliwość dla pana, służalcem pomagali. W mgnieniu oka stanęła na ulicy czereda na pół naga; zajechała bryka dzielnemi końmi, z dwoma beczkami wina z wyciętymi wężorami. Badowski na pół nagi siada, jak Bachus na jedną z nich, dają mu wielką chochlę srebrną od zupy, czerpa trunek z beczki, nalewa w kielichy, i ta cała pijacka gawiedź rusza w procesyi, i w dzień biały idzie przez ulicę ku bramie krakowskiej. Co za widok osobliwszy i gorszący, do osiemdziesiąt osób na pół nagich; wielu potrzęsających brudnymi łachmanami, które wprzód suknia osłaniała, tańczących, skaczących, taczających się, śmiejących się, śpiewających, lub ze zbytku trunku upadających i oddających ustami to, co gardłem pochłoniętem było. Prawdziwy obraz orgii Bachusa; tyrsów jej tylko niedostawało, najśmieszniejsza, najdziwaczniejsza i oburzająca. — Idźmy do prezydenta — zawołał pan, i wtoczyli się w bramę krakowską. Ostrzeżony marszałek trybunalski odwołał sesyę. Czereda minęła ratusz, weszła do kamienicy Makarewicza, gdzie prezydent mieszkał, zastawszy zamknięte drzwi od apartamentów wybija je, wyciąga prezydenta z łóżka, chce zabrać z sobą na procesyę, ledwie się wymodlił słabością. Wieczorem dopiero cały orszak wrócił do mieszkania Granowskiego, którego przecież po tym tryumfal-

nym przechodzie sen zmorzył i usnął na swoich bohaterских laurach. Co ja własnymi oczyma widziałem, o tem Staszcie ze słyszenia wspominał w pochwałę Jędrzeja Zamojskiego.

Wojewoda lubelski Hryniewiecki, podkomorzy Dłuski, starcy poważni, ojciec mój, stolnik Wybranowski i chorąży lubelski Poniatowski, unikali tego rodzaju uczt i nigdy się na nich nie znajdowali. Ojciec mój, którego Granowski bardzo lubił i poważał, tak się był obawą tych pijackich festynów zraził, iż ten pan musiał mu dać słowo honoru, że go nigdy do kielichów przymuszać nie będzie. Razu jednego przejeżdżaliśmy przez Garbów do Markuszowa, gdyśmy mijali wiatraki przy granicy markuszwskiej stojące, wypada nagle liczna czereda liberyi i biesiadników, zatrzymuje spłoszone krzykiem konie i w tym momencie za wiatrakiem ukryty ukazuje się Granowski już podpity z orłem w ręku.—Witaj panie sędzio!—odezwał się—tak to dotrzymujesz słowa, mijasz przyjaciela, więc i ja nie dotrzymam, albo więc nie uchybiaj przyrzeczeniu i wstąp, a musieć cię nie będą do kielicha, albo jedź, lecz wypij”; wybrał mój ojciec pierwsze, udaliśmy się z całym gronem pieszo do Przybysławic, tam zastaliśmy liczne towarzystwo, kielichy szły szybko koleją. Ów Badowski o którym wyżej wspomniałem, już był tak pijany że, nie mogąc się ruszać stał o ścianę oparty, już kielicha nie mógł utrzymać w ręku; a tu wołano raz wraz „do ciebie panie Konradzie”. Otwierał więc tylko głowę, a przechodzący wycedzali mu kielichy w gardło, z których trunek bulkocząc jak w przepaść przez gardło

przelewał się. Szczególna rzecz, że tak z parę godzin stojąc oparty o ścianę, potem jak ze snu oczynony chodził, śpiewał i całe towarzystwo przetrwał. Ten Badowski, był prócz tego wielkim żarłokiem, miałem z nim dobrą znajomość gdyż z bratem jego Amandem chodziłem do szkół w Zamościu. On je wprawdzie kończył gdy ja zaczynałem; przez te związki gdy przejeżdżał blisko Piotrowic nie mijał mego domu. Raz przyjechawszy po obiedzie podchmielony a głodny, prosił o zrazy i kaszę ze skwarkami; nim je przyrządzono, wypił trzy butelki porteru, potem zjadłszy spory półmisek zrazów i kaszy i dwa kapłony, wypił cztery butelki wina i wyjechał. Był to człowiek dowcipny, zabawny; nie uczony, lecz jak na swój czas nie głupi, prawnik nie wykrętny, dobry Polak, w gruncie prawy i szlachetny człowiek, nie był nałogowym pijakiem, lecz opojem i żarłokiem niesłychanym.

Ksiądz Lenczewski, biskup abdereytański i za rządów biskupa Sołtyka, póki dyecezya lubelska do krakowskiej należała, officyał lubelski, prałat, kanonik, archidiakon i proboszcz według ówczesnego zwyczaju kilku intratnych probostw, jako to: ryckiego, chrzczoneńskiego, był uposażony dostateczną intratą przez króla Stanisława Augusta, którego w dzieciennym wieku jako dyrektor czytać i pisać uczył. Ztąd miał wstęp i laski u króla, który był szczególnie pamiętny na sług ojca swojego kasztelana krakowskiego zasługi. Miał też protektorów u dworu z dawnych swoich kolegów Karasia, Ogrodzkiego i Kickiego wojewody rawskiego. Żył jak naówczas nie wspaniale, lecz dostatnie, miał

dobrego kucharza i powszechnie zapraszał do siebie w piątki na ryby. Wino miał bardzo dobre i niem przynęcał gości. Już w wieku osiwiiałym ozdobiony został orderem Ś-go Stanisława przez króla. Z tego powodu dawał wielką u siebie ucztę po limicie trybunału, na urodziny królewskie. Uczta i naturalne kielichy przeciągnęły się aż do wieczora — wieczorem oświecono okna na rynku świecami i lampami. Ktoś się odezwał: pójdźmy na rynek z kapelą. Biskup już podchmielony zawołał: „ja kawaler, ja kawaler pójdę z wami”; a więc kosz wina niosą, muzyka gra, idzie cała czereda, biskup na jej czele. Wszyscy skaczą i tańczą około biskupa, on na pół głosem nuci piosneczkę nieco wolną „przenocuj mnie, przenocuj, bo mnie deszczyk zmoczył”, nucąc, trzępie nogami, skacze na rynku, powtarzając: ja kawaler, ja kawaler, i wypijając wraz z towarzyszami za zdrowie Stanisława Augusta. Tak to zbytek trunku naraża najgodniejsze osoby na ubliżenie sobie i swemu powołaniu, winą obyczajów i wad wieku; bo Lenczewski prócz tego wydarzenia, był kapłanem przykładnym, gorliwym, obyczajów czystych, małych wprawdzie zdolności. Ale każdy wiek ma swoje nadużycia i plamy; już pod biskupem Skarszewskim, który surowo przestrzegał przystożności między duchownymi, widziałem jak jeden mnich, nazwiskiem Tiburcy, w jednym domu u gospodyni zbyt ludzkiej trzymał kielich w rękę; ta jedną ręką nalewała mu wino, drugą szargała za pasek od habitu, a on przed nią, rozgrzany trunkiem, skakał jak niedźwiedź na łańcuchu. W naszych czasach, podobnie gorszące widowiska nei

wydarzają się, uczucie przyzwoitości i godności więcej upowszechnione. Przecież niestety! byliśmy świadkami czasów, w których i suknia kapłańska nie ochrosiła od szału i zapamiętania. Widzieliśmy na placu publicznym, zakonnika tańczącego walca z kobietą z motłochu, że aż trepki pogubił. Widzieliśmy dwóch obłąkanych i hańbiących suknie swoje kapłanów, zachęcających do mordów i wieszania, jednego z nich wznoszącego ręce do nieba skrzwawione i wołającego do ludu „to jest kwiat najmilszy Bogu”. Podobne, wyjątkowe wprawdzie, przykłady, ohydniejsze od tych, które wiek przeszły przedstawiał. Pijaństwo było wadą i rodziło niekiedy gorszące postęпки, lecz mniej szkodliwe towarzystwu, tam były winy, tu niestety! widzieliśmy zbrodnie.

Ze szkół lubelskich jeszcze jedno wyniosłem wspomnienie, które jak wtenczas młodocianem mojem sercem wstrzęsło i oburzyło je, tak teraz w zgrzybiałym moim wieku, wzdrygam się na nie. Ujrzałem przed sobą na egzaminie Adama Ponińskiego, podskarbiego wielkiego koronnego, kommandora maltańskiego, marszałka sejmu r. 1773. Zadrżałem gdy przyniesiono na tacy medale, jeden złoty i kilka srebrnych, mających być rozdaniem między uczniów. Dla mnie był przeznaczony złoty, ale przecież nie ten ohydny człowiek, ale prezydent trybunału, ksiądz eksreferendarz Sołtyk, przypiął mi go do piersi; z rąk tamtego odbierając nagrodę byłbym się rozplakał i shańbionym się uczuł. On na pół pijany, bo to było w porze poobiedniej, egzaminował mnie i przypominam sobie, że mnie za-

pytał gdzie najlepsze wino w Europie. Zbrodzień ten, był wzrostu wysokiego, średnio otyłej i silnej postaci, twarzy, jak nazywano białą kurowatej, włosów jasnych, zatabaczony pod nosem. Miał na sobie mundur maltański, bogato haftowany, z wielkim krzyżem na czarnej wstędze u szyi, piersi okryte gwiazdami i wstęgą niebieską orła białego. Zjechał on był do Lublina, dla poprawienia sprawy swojej z kredytorami i z kilku możnymi, których dobra, swoim kluczom sąsiednie w kontrakty sprzedażne zagarnął i posprzedawał. Nie przewidywał podówczas wśród swego znaczenia, że za parę lat sądzonym być może, w więzieniu osadzony, że z niego uciecze, że później podczas Targowicy włoży się będzie bezkarnie po ulicach i że w ryszotoku jak ostatni z motłochu pijanica za rządu pruskiego życie zakończy.

Wspomnę tu jeszcze wspaniałą wjazd na starostwo lubelskie Michała Mniszcha, marszałka W-go koronnego. Całe obywatelstwo lubelskie chciało uczcić w nim spokrewnionego przez żonę z królem. Wszyscy więc w mundurach ponsowych lubelskich na dzielnych koniach, z przybranymi w barwy masztelarzami, wyjechali przeciw niemu do Jastkowa i tam go witali. On wsiadł także na konia i w tej asystencji pojechał na zamek, gdzie objął urząd i mianował podstarostę. Po nabożeństwie w kolegiacie udał się na Tatary. Szkoły go witały. Brat mój starszy miał do niego w ich imieniu przemowę.

---

**Wspomnienia moje z palestry lubelskiej.  
Rok 1787.**

---

W roku 1787 podczas trybunału pod łaską marszałka Jana Małachowskiego, wojewodzica siedleckiego, a starosty opoczyńskiego, oddał mnie ojciec do palestry. Jak zacząłem szkoły w czasie marszałkowania Małachowskiego podówczas starosty oświęcimskiego a później wojewody krakowskiego, tak skończyłem je a zacząłem zawód prawny przy trybunale, któremu przewodniczył Małachowski, później referendarz, marszałek nadworny, nakoniec senator wojewoda w senacie królestwa kongresowego. Jak podówczas wspomniano z oburzeniem i z obrzydzeniem trybunał pod łaską Olizara stolnika litewskiego, gdyż to był stek wszystkich bezprawii, przekupstwa i niegodziwości, tak z pochwałą, z uwielbieniem, z wdzięcznością mówiono o trybunałach, którym trzech Małachowskich kolejną przewodniczyło. Jan ledwie skończył lata prawami do wieloletności przepisane, a już za wzorem stryja

swego, Stanisława ,później marszałka sejmu, umiał utrzymać powagę urzędu i zjednać sobie miłość i poszanowanie kolegów i palestry, ufność w poszukujących sprawiedliwości bo był jej pilnym przestrzegaczem i nieugiętym wykonawcą. Żył bez bez wielkiej wystawy, lecz przystojnie, dawał uczyć tylko nieuniknione, nie chcąc, aby takowe przeskadzały posiedzeniom. Wszystkim gorszącym scenom położył tamę i tych nie dopuścił. Z zamierzonych dla niego uczt tylko jedną przyjął na swoje święto, od której się całej publiczności wymówić nie mógł. Deputaci, palestra, obywatele, wspólnie ją dali; był to bal wielki, może z tysiąca osób złożony; odbył się w umajonych drzewami i oświetlonych lampami obszernych OO. Dominikanów kurytarzach ozdobionych godłami i napisami. Pamiętam główny na wstępie:

Tu się Litwa z Koroną na zawsze złączyła,  
Tu jedność w trybunale jak nigdy nie była.

Wzorem stryjów, zacząłeś twój zawód młodzieńczy,  
Sprawiedliwość cię wslawia, a powszechność uwieńczy.

W przeciągu czasu przed i po trybunale olizarowskim trzy się odznaczyły i były tem, czem powinny były być, jeden pod laską Kęszyckiego, drugi Szwiejkowskiego wojewody podolskiego i trzeci Jana Małachowskiego. Za jego marszałkowstwa wypadła sławna owa sprawa, która poruszyła dwór i całą narodową powszechność. Sprawa prześladowanego z urzędu jako sędziego ziemskiego lubelskiego ojca mojego, przez możnowładcę księcia Sapie-

hę. Opiszę ją tu jako świadectwo tej prawdy, którą Staszic o możnowładcach polskich odgadł i tak dobitnie w dziełach swoich wyrzył.

Dla zrozumienia początku urazy i zemsty, muszę zacząć od sejmiku deputackiego, o który się przewaga i burmistrzowanie tego pana w województwie lubelskiem rozbiły, *inde irae*.

Kazimierz Nestor książę Sapieha, wojewodzie mściśławski, ledwie wyszedłszy z konwiktu już generał artylerji, W. Ks. Litewskiego, był synem rodzonej siostry hetmana Ksawerego Branickiego sławnej w Warszawie i po trybunałach intrygantki faworytki niegdyś królewskiej, jednej z tych pięciu Elżbiet, które w złośliwym paszkwilu Kajetan Węgierski opisał <sup>1)</sup>, za co z kraju uchodzić musiał, bo obrażone kobiety groziły mu różgami i postarały się że wiersze jego przez kata na rynku spalonymi zostały. Ojciec mój był mecenasem hetmana Branickiego, nie tylko jego spraw lecz i jego Achatesów; bronił, je jako to generała Kurdwanowskiego i Mierzejewskiego, który był faworytem siostry hetmana; przez te związki był zawsze pomocnym w interesach księżnej Sapieżyny i syna jego i miał ich przyjaźń i przychylność. Książę ten młody, przystojny, utalentowany, wymowny, dziedzic Kodnia i Łęczny dóbr obszernych, lecz bardzo zadłużonych, ożenił się z piękną, młodą, bogatą i dobrze wychowaną cór-

---

<sup>1)</sup> Te pięć Elżbiet były: 1 pani Krakowska, siostra królewska; 2, księżna marszałkowa Lubomirska; 3, księżna generałowa Czartoryska; 4, księżna wojewodzina Sapieżyna; 5, pani marszałkowa Potocka, którą jedną pochwalił.

ką Cetnera wojewody bełzkiego, wdową po Józefie księciu Sanguszcze marszałku W. Ks. Litewskiego, który na polowaniu potłukłszy się z sanek, umarł, zostawiwszy pod opieką matki jedyne go syna, bardzo pięknego, dwunastoletniego młodzieńca. Sapieha po ożenieniu się ujrzawszy się przez żonę panem dożywotnim Lubartowa i innych obszernych dóbr Sanguszowskich na Ukrainie i Wołyniu, przeszło 300,000 złotych w owym czasie rocznego dochodu czyniących, zapragnął za poradą matki trząsać trybunałami, a z własnego i zwykłego możnowładcom polskim popędu burmistrzować w województwie lubelskiem, wybierać i strącać na sejmikach urzędników, posłów, deputatów i t. d., co mu bliskość Lubartowa przy Lublinie ułatwiła. Ztąd częste w Lubartowie kielichowe uczty, ztąd niezrządki odwiedziny Lublina i tam rozpasanie się na hulaszce życie, co młodej i zazdrosnej żonie podobać się nie mogło. Wkrótce też nastąpiły niezgody i z wielkiej miłości nienawiść. Razu jednego, ten pan, oświadczając się ojcu mojemu z czułą swoją przyjaźnią, rzekł do niego w przytomności wielu obywateli: „Panie łowczy, już czas, ażebyś porzucił mecenaturę, Pan Bóg ci dał majątek, czas zacząć nam służyć współziomkom” i, obróciwszy się do obywateli, dodał: „Prośmy go, aby nie odmówił być deputatem na przyszły trybunał”.—Ale mości książe, ojciec mój się odezwał—książe zapominasz, że *turnus* wypada na ziemię łukowską, a ja tam nie mam obszernych związków, a więc nie mogę mieć życzeń. „Zdaj to Wpan na mnie—rzekł książe, ja w rękawie mam ziemię łukowską, a więc

wypijmy zdrowie przysłego deputata<sup>n</sup>. Taka umowa skończyła się kielichami i mój ojciec przyjął ofiarę księcia i obywateli. Tymczasem księżę jego-  
mość spostrzegł na balu młodą i piękną mężatkę Jastrzembką, córkę Suchodolskiego podstarosty lubelskiego, która świeżo zaślubiona mieszkała z mężem i z rodzicami na Rurach pod Lublinem. Poznawszy ją, zaczął tam uczęszczać i zalecać się młodej mężatce. Ta, znającą swoją urodę, pragnąca zabaw i błyszczenia na nich, wyjawiała księciu chęć mieszkania w Lublinie i życzenie, aby dla tego mąż jej mógł być wybrany deputatem. Sapieha skwapliwy w uiszczeniu jej życzeń przyrzekł jej wybór męża na przyszłych sejmikach, zapomniawszy lub lekceważąc owe zaprosiny na ten urząd ojcu memu uczynione i wobec ojca jej wypił zdrowie przysłej pani deputatowej, a gdy jej ojciec zastanowił go, że to być nie może, gdyż i on i cała rodzina Suchodolskich należała do uroczystych zaprosin Koźmiana, odpowiedział księżę: „Koźmian może czekać do przysłego roku i tak będzie jak ja chcę”. Tymczasem ziemia łukowska nie uwiadomiona o zmianie pańskich zamiarów, przysłała ojcu memu oświadczenie, że go chętnie deputatem ujrzy i że mu wota swoje ofiaruje. Wielkie było zadziwienie ojca mego, gdy się dowiedział, że rozესłani sapieżyńscy słudzy zamawiają po wsiach Łukowskich i lubelskich dla Kazimierza Jastrzębskiego szlachtę; brał to za płonną wieść i wyjaśnienia jej bez żadnych za sobą starań z spokojnością czekał, gotów usunąć się od urzędu, do którego tylko namówionym został. Lecz poważniejsi obywatele

tak lukowscy jak lubelscy, uczuli w tym kroku młodego pana igraszkę z siebie i ubliżenie starszemu wiekowi i zasługom zaproszonego przez nich kandydata. Sapieha ostrzeżony o powszechnem nieukontentowaniu, zawsze lekceważąc tę sprawę, na cztery niedziele przed sejmikami, przyszedł do mego ojca z wizytą i na dawnej poufalości stopie, rzekł do niego już nie trzeźwy: „Już to na ten rok Wpan nie możesz być deputatem, ale Jastrzębski, przyrzekłem mu to, a Wpana obierzemy na przyszły trybunał”.—Bardzo dobrze mości książe—odrzekł mój ojciec: „choćby i nigdy, przystają na to, lecz niech książe mówi z obywatelami, jeżeli oni mnie uwolnią od danego im przyrzeczenia, zgodzę się z ich wolą, w tej chwili nie jestem panem mego słowa, a spodziewam się, że książe nie zapomniłeś skutku i ich i swoich zaprosin, jeżeli sam zmieniłeś swój zamiar przynajmniej mi przeszkadzać nie będziesz“. „Jak widzę—zawołał Sapieha—Waś, chcesz ze mną emulować, za mały na to jesteś“. „Mości książe—rzekł z godnością mój ojciec—wiedz, że choć miałem myśl odstąpienia od tej chwili nie odstąpię, obywatele między nami rozstrzygną”. Sapieha rozgniewany, wytoczył się na pół pijany z pokoju ojca mego i odtąd obiedwie strony swoje starania przedsięwzięły. Rozesłani z tej i z tej party przyjaciele rozbiegli się po wioskach między drobną szlachtę. Nie trudno było dla mego ojca znaleźć sobie przychylnych, wielu szlacheckich synów trzymał on przy sobie jako dependentów, a przy tem nie było wsi szlacheckiej w województwie lubelskiem, w którejby nie miał dalekich krew-

nych lub powinowatych. W ziemi lukowskiej, Łaski sędzia ziemski, Jastrzębski podsędek i Domaśzewski sędzia grodzki zajęli się zamawianiem wotów. Z swojej strony Sapieha przemówił do 500 lubelskiej i lukowskiej szlachty, lecz widząc, że przeciwnika jego liczniejsza była partya, udał się do przekupstwa i w tym celu u trzech bankierów lubelskich, Heislera, Webera i Finka szukał pieniędzy, lecz ci świadomi powodu a oddawna mający z ojcem moim przyjazne stosunki oświadczyli mu, że przed sejmikami nie dadzą, po sejmikach znajdzie książę otwarty kredyt. Niezrażony tą odmową udał się do Warszawy i zaciągnął kilka tysięcy czerwonych złotych u bankierów tamtejszych, a pewny swojej przewagi, między młodymi paniczami warszawskimi chełpił się przysłem swoim nad szlacheicem zwycięstwem i tak ciekawość ich pobudził, że kilkunastu wypieszczonych elegantów udało się z nim do Lublina, aby być świadkami walki. Nadszedł więc dzień sejmików. Tłumy szlachty napęłniły ulice. Garnizon wyszedł z miasta, trybunał zalimitował na dwadzieścia cztery godzin sesyę, i tłumny sejmik rozpoczął się od mszy świętej w kościele Dominikańskim. Po jednej stronie stanął w stalach książę Sapieha z swoimi przyjaciółmi otoczony kilku hetmańskimi rębaczami, po drugiej mój ojciec z gronem przyjaznego obywatelstwa, do którego przyłączyli się dependenci i prawie cała przychylna palestra. W środku zasiedli urzędnicy wojewódzcy, ławki w kościele zajęła publiczność i wyfryzowani przy szpadach eleganci warszawscy. Szlachta, tłumnie zapełniając cały kościół, z prze-

drzyznianiem i z szyderstwem spoglądała na nich. Gdy po mszy pierwszy z porządku urzędnik zagaił sejmik i podał kandydatów na marszałka, zaraz się stał krzykliwy spór. Partya sapieżyńska wrzeszczała: „nie pozwalamy na Jastrzębskiego podsędka Łukowskiego, jako na znanego przyjaciela Koźmiana”. Partya ojca mego z głośniejszym, jako liczniejsza, krzykiem, to samo powtarzała przeciw jednemu z Suchodolskich. Wśród tego wrzasku wpada szlachcie i na partyę mego ojca woła: „Suchodolski w kaplicy przysięga na marszałka.” Na to stojący przy moim ojcu młody jego dependent, niejaki Jan Dmochowski, szlachcie, dziedzie części we wsi Iżycach, zagorzały ojca mego stronnik, krzyknął: „albo ja trup, albo Koźmian deputatem” i rzuca się w tłum szlachty, wpada z nią do kaplicy, tam przewracają stolik, wydzierają krucyfiks, rozdzierają rotę przysięgi, wyganiają pałaszami przeciwników, obsadzają kaplicę i wrzeszcząc „niech pan Jastrzębski przysięga” wracają. Próżno Sapieha stanąwszy na ławce, głos zabiera i partya jego woła: „nie pozwalamy“ Jastrzębski wykonywa przysięgę i wzywa o podanie kandydatów. Łaski, sędzia ziemski łukowski podaje ojca mego, ksiązę Sapieha Kazimierza Jastrzębskiego. Ta sama scena rozpoczyna, się co przy wyborze marszałka. Ksiązę Sapieha staje na ławce, popiera głosem swojego kandydata, a gdy wrzask go zagłusza, kończy mowę temi słowy; „a kiedy tak, to ten rozstrzygnie” i miał nieroztropność wyciągnąć pałasz do pół pochwy. Nie dano mu go dalej dobyć, zrzucano z ławki, w mgnieniu oka błysnęło tysiąc szabel nie oparli się im rębacze het-

mańscy. Na ten gwałt i krzyk, wychodzi z zakrytyi przeor dominikański, ksiądz Drohojewski z Sanctissimum w ręku, woła, zaklina; rozjadły tłum jednych rąbie, drugich płązuje; Sapiehę ukrytego pod ławką ściga z gołym pałaszem szlachcic na pół pijany; ten ucieka i chroni się pod kapę i szaty kapłana; szlachcic zamierza się, chce go rąbnąć; przeor w jednej ręce utrzymuje puszkę, drugą chwyta za klingę, szlachcic, szarpnąwszy, podrzyna mu palce, krew broczy stopnie ołtarza. Nie hamuje się gmin szlacheckich: rzuca się na elegantów warszawskich, jednych tupety targa, drugich płązuje i wypędza z kościoła. Zbroczony krwią kościół w interdykcie. Sapieha przez zakrystę cichaczem uchodzi, partya jego wyparta, zamykają kościół, wybierają Koźmiana jednomyślnie, spisują laudum, a że się lękają aby w innym kościele nie zachciało się upokorzonego panu zgromadzić swojej czeredy i sejmik rozdwoić, szlachta pod swymi dowódcami przez całą noc oblega wszystkie kościoły i nie ustępuje aż się dowiedziała że Sapieha w nocy odjechał do Lubartowa. Elekeya ta zmartwiła ojca mego. Napisał zaraz do króla, lecz Stanisław August będący wtenczas w niezgodzie z hetmanem Branickim, w duszy cieszył się z upokorzenia Sapiehy, a świadom niewinności mego ojca i razem ujrawszy dowód jego znaczenia i przewagi w województwie lubelskiem, wkrótce po odbytej jego funkcyi na deputata, podanego sobie między kandydatami podsędkiem mianował, a potem na urząd sędziego ziemskiego lubelskiego wyniósł. Sejmik ten odbył się w r. 1784, na trzy lata przed łaską marszałka Jana Małachow-

skiego. Dałem jego obszerny obraz i dla wiadomości jak się odprawiały sejmiki w Polsce, nim inny im porządek prawo r. 1791 przepisało i dla wytknięcia źródła urazy i zemsty młodego możnowładcy, która się więcej jeszcze rozżarzyła przegraną w sądzie ojca mego sprawą tego pana, którą następnie opisuję.

---

### Sprawa sapieżyńska w r. 1787.

Książę Kazimierz Sapieha, straciwszy przewagę w lubelskiem starał się jeszcze przez jakiś czas o wpływ na trybunał i uczęszczał do Lublina. Młoda i zazdrosna żona sprzykrzyła sobie życie z nim, odjechała go do Krakowca, mieszkania ojca swego wojewody belzkiego, i zaczęła z nim rozwodowy proces. Doprowadziwszy do skutku rozwód, wniosła drugą sprawę do sądu ziemskiego lubelskiego o powrót sobie dóbr, których dziedzicem był jej syn, młody książę Roman, a ona z mocy zapisu dożywotniczką. Książę Sapieha, chcąc się jeszcze jakiś czas utrzymać przy majątku pasierba, wniósł ze swojej strony pozew o różne deportata i pretensye i o utrzymanie siebie przy użytkowaniu z dóbr, dopóki sumy jego najprzód wylikwidowane, a następnie zapłacone nie będą. Gdyby był swego dokazał, mógłby był likwidacją długów przez kondescencyę, przez rozpisy, zwłóczyć dopóki by chciał, mógłby był o najmniejszy dług i pretensyę oddziel-

nemi procesami rzecz całą utrudzać i kilkanaście lat dobra „nullo jure” posiadać z krzywdą małoletniego i matki. W tak złej sprawie nie dogadzało mu z przyczyny sejmikowych uraz, iż miała ona przychodzić pod sąd, któremu ojciec mój przewodniczył, zwłaszcza że na tak gorszący proces nie tylko obruszyła się cała można familia Sanguszków i z nią skrewnione domy możnych, lecz dwór i cała powszechność. Pan Ignacy Potocki, marszałek nadworny litewski, znany ze szlachetnego sposobu myślenia, ujrawszy mego ojca w Puławach rzekł do niego: „Panie Sędzio! nie dopuść, aby tryumf odniosła nad małoletnim i opuszczoną matką tak gorsząca sprawa jaką popiera Sapielha w twoim sądzie”; a król Stanisław August, proszony o instancją, księżnie marszałkowej Sanguszkowej odpowiedział: „wdałbym się do innego sądu, do lubelskiego niema potrzeby”. Tymczasem książę Sapielha i matka jego, nie spodziewając się wygranej w sądzie, bądź że mieli wewnętrzne przekonanie o nieprawości sprawy i sprawiedliwości sądu, bądź że posądzali ojca mego o chęć zemsty za owe sejmiki, zamierzyli większość sądu ująć, a gdyby się to nie udało rozdwoić. Gdy więc nie powiodły się rachuby na podsądku Trzeińskim i pisarzu Janiszewskim, zastawili na tego ostatniego innego rodzaju sidła. Wiedzieli oni, że ten dotąd nieskażony i prawy urzędnik od najmłodszego wieku żył w ścisłej i niezachwianej przyjaźni z ojcem moim, i oba kochali się jak bracia, lecz i to wiedzieli, że Janiszewski był przez żonę złączony z Tomaszem Dłuskim, podkomorzym lubelskim, mężem wielkiej powagi nietylko w woje-

wództwie, lecz w kraju, i że Janiszewski całą swoją jak nazywa kręscetywę winien był znaczeniu Dłuskiego. Na przeciw więc cnoty bezstronności sądowej i sprawiedliwości cnotę wdzięczności wystawili, i ażeby razem dać więcej prawności sprawie wypuścili dzierzawą całą Lubartowszczyznę podkomorzemu Dłuskiemu, aby ten prawami swojemi, dobrą wiarą nabytemi, Lubartów od praw żony i małoletniego syna osłonił aż do expiracyi kontraktu. Sprawa więc tak przygotowana *magno motu* weszła na stół sądu ziemskiego lubelskiego. Zjechał na nią osobiście książę Sapieha wraz z matką. Przy wprowadzeniu jej postać sądu ziemskiego, odbywającego posiedzenie swoje w ratuszu nad trybunałem, przybrała niezwykłą wystawę. Najpierwsi mecenasi opuścili kratki trybunalskie, i od krutek ziemskich bronili stron zwaśnionych. Cała publiczność przeniosła się tłumem na posiedzenie sądu ziemskiego. Książę Sapieha stał przy sądzie, matka siedziała obok niego na krześle z zadalonemi oczami, raz z nich ocierając łzy, drugi raz pożerając niemi obrońców przeciwnej strony. Była to kobieta już sześćdziesięcioletnia znacznych w czerwonej twarzy rysów. Pierwszy raz spostrzegłem, jak jest brzydka kobieta pieniaczka. Po skończonych induktach wszczął się zaraz spór w sądowej izbie. Ojciec mój, i podsędek Trzeciński, opierając się na wyraźnem prawie, które w podobnych zdarzeniach natychmiast *ante omnia* deokupację dóbr nakazywało, oświadczyli się za powróceniem ich matce młodego dziedzica. Janiszewski zaś, pisarz, uważając w tej sprawie *novum emergens*, possesją To-

masza Dłuskiego *in bona fide* nabytą, a ztąd krzywdę trzeciego, proponował *ante omnia*, kondescencyą do uznania pretensyi, wylikwidowania deportatów, i dopiero na terminie ich wypłaty ustąpienie z dóbr za słuszne uznawał. Było to jedno, co wyzuć Sanguszków sukcessora i Matkę z majątku do nieoznaczonego terminu, gdyż, jak to już wspomniałem, znane były sposoby zwłoki, i wykręty, przez pieniaczów wymyślone, których użyć Sapieha by nie zaniedbał. Ojciec mój, chcąc godzić i rzecz samą i sąd, wynalazł sposób średni, nie obrażający prawa, a tem się sam więcej uśmiechający, że on, przyznając Sapieże to, co mu prawnie przyznanem być mogło, okazywał w jego oczach, że gdzie chodzi o oddanie sprawiedliwości, wtedy bez względu na przyjaźń lub nie przyjaźń, nie urazą lub wdzięcznością, lecz sumieniem się powoduje. Wspólnie więc z podsędkiem zgodzili się na wyrok niezwłocznego ustąpienia z dóbr, lecz w dzień tego ustąpienia rozkazano Sanguszkowi, *sub conditione sine qua non*, zapłacić Sapieże summę 200,000 złotych, jako wykazaną w inдукtach, i za dekretami przez niego w zastępstwie żony zapłaconą, a dla rozpoznania i wylikwidowania reszty pretensyi wyznaczono zjazd całego sądu na grunt, z regułą w czterech niedzielach ostatecznego rozsądzenia. Pisarz Janiszewski rozpiął się od tego wyroku na błachej zasadzie, że prawo zabrania sądom likwidacyi na stole, co w żadnym względzie do obecnego wyroku sądu naciąganem być nie mogło. Przeczytano więc głośno wyrok, pisarz swój rozpis w protokule zostawił. Sapieha założył apelacyą do trybunału,

tej nie dopuszczono. Wychodząc podziękował wraz z matką pisarzowi za rozpis i z gniewem wyszli oboje z posiedzenia. Drugiego dnia zaraz zaniósł Sapieha do akt trybunalskich zjadliwy manifest przeciw wyrokowi, a w kilka dni położono żonie pozwy, wywołano sprawę główną do trybunału, i także same pozwy wymierzono przeciw sądowi ziemskiemu lubelskiemu *de male gesto officio*, do rejestru *paenaliium*, z którego według prawa raz tylko w tydzień przywoływano sprawy przeciw występny sędziom o odsądzenie ich od urzędu lub ukaranie, gdy nie zjechał na kadencją, gdy się dał przekupić, lub się dopuścił gwałtu na osobie.

Wszczęły się wtedy po aktach manifesta i re-manifesta, sąd ziemski w swoich odwoływał się po sprawiedliwość do trybunału za zadanie sobie obelgi, domagał się od króla i publiczności protekcji przeciwko możnowładzcy naigrawającemu się z ustaw i prześladowającemu urzędników krajowych za nieposłuszeństwo swej woli. Sprawa więc obruszyła całą publiczność i pod laską Małachowskiego do rozstrzygnięcia przypadła. Matka i syn Sapiechowie, zjechawszy na nią, poruszyli wszystkie sprzężyny intryg, namow, naprzykrzeń, wizyt, uczt, nakoniec przekupstwa, tak, że się cnotliwsi deputaci zamykali w swoich domach i naprzykrzającą się Sapieżynę przyjmować odmawiali. Ranku więc jednego przekupiła służącego i wpadła do sypialnego pokoju Jabłońskiego deputata mazowieckiego; zastawszy oboje małżeństwo w łóżku, zaczęła indukować swoją sprawę, a gdy ten młody, lecz cnotliwy człowiek błagał aby przestała, mówiąc, że mu się

nie godzi słuchać wyводу sprawy tylko na ratuszu, przeniosła swoje natrętnie żale do młodej żony, i karesując ją, wzywając jej instancyi do męża, wsunęła jej pod poduszkę dwa rulony z dukatami. Gdy wyszła, żona, sięgnąwszy pod poduszkę zarumieniła się i okazała zostawiony datek mężowi, ten go porwawszy, jak był w koszuli wybiegł za bezczelną kobietą, dopędził na schodach, przytrzymał za suknię, wołając z gniewem: „księżno! odbierz tę hańbę, którąś mnie okryć chciała, bo ci ją publicznie w sądzie na stole położę,” i przez okno do karety wrzucił jej ładunki z pogardą. Stawiła się na tę sprawę i liczna rodzina książąt Sanguszków i inni książęta i panowie z nią spokrewnieni. Była to prawdziwa walka dwóch możnych rodzin, między które los nieszczęśliwy rzucił jak ofiarę niewinnego obywatela, lecz rodzina Sanguszków zachowała się przyzwoicie i w cichości. Sapieha sam trzymał plac uczt otoczony zawsze licznym gronem oficerów (gdyż pułk fuzilierów litewskich stał wtedy w Lublinie) i jurgielników hetmańskich, na których czele był Suchodolski, deputat chełmski. Mecenas trybunalscy okazali tu prawie wszyscy wstręt do tak gorszącej sceny i razem dowód szacunku i przyjaźni dla mego ojca. Żaden nie podjął się bronić od kratek sprawy, nawet kapitulowani od hetmana, Linczewski i Czajkowski odmówili, tak że Sapieha ledwie jednego ujął i ubłagał dopiero co zaczynającego zawód kratkowy niejakiego Zborowskiego, krakowianina, mało znanego memu ojcu. Z tego powodu wziął Sapieha na siebie postać uciśnionego i prześladowanego, i to chciał wmówić w publicz-

ność. Ratusz przez trzy dni, przez które trwały in-  
dukty, napełniony był natłokiem ciekawej publicz-  
ści. Gmin podsłuchiwał pod ratuszem, oczekując  
wyroku. Sama izba sądowa wystawiała teatralną  
scenę. Trzech najpierwszych i najwymowniejszych  
mecnasów, Grudziński, Kański, Dederko, bronili  
sądu ziemskiego. Z jednej strony za balustradami  
stał Sapieha, otoczony oficerami i przyjaciółmi, ubra-  
ny w mundur generała artylerji litewskiej i w or-  
derach. Matka siedziała obok niego na krześle.  
Z drugiej strony za żelazną kratą stał sąd ziemski,  
oskarżony i szereg Sanguszków, okrytych, orderami  
i gwiazdami, jako to: książę Hieronim, wojewoda wo-  
łyński, syn jego książę Eustachy, książę Roman, pie-  
tnastoletni młodzieniec, książę Janusz, strażnik wielki  
koronny, książę Stanisław Jabłonowski, szef gwardyi  
koronnej, Jerzy Potocki, starosta tłumacki, mający za  
sobą Jabłonowską, urodzony z Sanguszkownej i wielu  
innych panów. Dla lepszego przysłuchiwania się  
wielu widzów stało na ławkach, pod murami umie-  
szczonych. Cichość była wielka. Grudziński me-  
cenas, ostatnią mający replikę, tak ją zakończył:  
„Sędziowie! widzę między wami kilku piastujących  
ten sam urząd, z którego teraz sędzia i podsędek  
lubelski do odpowiedzialności przed wami pociągnię-  
ni zostali. Słyszeliście najniesprawiedliwsze zarzuty  
i dowiedzioną oskarżonych niewinność. Jeżeli po-  
święcenie się dla współziomków i kraju z ofiarą  
osób, majątku, czasu i wypełnienie wiernie i nieska-  
zitelnie powołania swego takie ma przynosić owo-  
ce i takie nagrody; jeżeli od możnych nie czeka  
prawych sędziów tylko prześladowanie i obelgi ho-

noru, widzicie jawnie waszą przyszłość, zadrżycie na los i przeznaczenie waszego plemienia, jeżeli ten i jemu podobne przykłady rozsieją odrazę od tego rodzaju posług, w prawych i nieskażonych obywateli sercach". Na te słowa porwała się stara Sapiężyna z krzesła jak oparzona, ale książę Jabłonowski młody i żywy odezwał się: „Mością księżno! uszanowanie dla sądu.“ Następnie książę Sapięha, dobywszy kilkaarkuszowej mowy, którą był przygotował, zapytał się marszałka czyli mu będzie wolno przymówić się, a gdy otrzymał służące mu z prawa przyzwolenie, brzmiącym wymownym głosem, z rzewną deklamacją, z których już na sejmie słynął, z początku z pamięci mówił, a następnie czytał; pamiętam początek jego mowy: „W wolnym zrodzony narodzie, pod wolnym współziomków zostający rządem, unikający cudzej krzywdy, a czeżący praw świętość, spodziewałem się, że jak jestem wolny od winy, tak będę wolnym od ucisku; smutne atoli zdarzenie przeciwnych dało mi doświadczyć losów i głos ten, który zwykłem poświęcać usługom ojczyzny, dziś zmuszony jestem podnieść na zaskarżenie bezprawnych sądu ziemskiego lubelskiego wyroków“ i w tak wymownym sposobie w postaci uciśnionego, wyliczywszy swoje zasługi w kraju, przeszedł, jak adwokat biegły, do obrony prawnej z wielkim talentem wymowy poruszającej słuchaczy. Gdy skończył tę dwugodzinną mowę ojciec mój powstał i prosił o podobne przymówienie się, i z zimną krwią, z spokojnością bez deklamacji, te kilka słów wyrzekł. Stałem obok niego wtedy: „Nie będę się mierzył z tak słynnemi w kraju ta-

lentami i wymową księcia jegomości generała artyleryi, nie będą powtarzał sprawy tu wytoczonej, bobym ubliżał doskonale stawającym od sądu naszego obrońcom. Przyznaję te znakomite zasługi wkraju, te świetne przymioty, które nam książę jegomość w tak doskonałym obrazie osoby swojej wystawił. Porównam tylko tę doskonałość do promieni słońca, które gdzieindziej wygodnie świecą, u nas zaś tak przykro dogrzewają, że aż pod cień powagi i sprawiedliwości twojej najjaśniejszy sędzie chronić się musim“; na te słowa powstał śmiech ukontentowania w całej powszechności i wzrok ironiczny zwrócił się na Sapięgę, a mój ojciec skończył temi słowy: „Skończę więc zupełnem zaufaniem w sprawiedliwość twoją najjaśniejszy sędzie i powtórzeniem słów obrońcy naszego: *Cavete Superi et vos fata manet*”. Nastąpił ustęp — tłum słuchaczów oczekiwał—przez drzwi sali sądowej słyhać było tylko głos perorujący Suchodolskiego, deputata chełmskiego. Przy kreskowaniu przyjaciele nawet hetmańscy odstąpili Sapięgi, zadzwonił marszałek, przeczytano przy wielkiej cichości wyrok. Nie uznano rejestru poenalium za właściwy. Za wywołanie do niego sprawy skarano Sapięgę 500 grzywnami; sprawę główną do rejestru ordynaryjnego odesłano. Tak honor ojca mego ocalonym został. Sąd ziemski wyrok swój do skutku doprowadził. Sapięga z Lubartowa deposedowanym został, wyjechał i już tak prędko w województwie lubelskiem nie ukazał się. Przyznać należy, że jak trybunalskie szermierstwa i sejmikowe przewodzenia kaziły przez jakiś czas tego pana wielkie przymioty i talenta, tak gdy

się zrzekł tego zawodu i na drogę, właściwą swemu wyższemu wychowaniu i szlchetnym uczuciom zstąpił, w posługach krajowych z miłości kraju, z gorliwości, z talentów między pierwszymi patryotami zajaśniał. W lat parę obrany posłem z województwa brzeskiego—litewskiego, na sejmie 1788 jednomyślnie na marszałka tegoż sejmu przez prowincją litewską powołany został. Oświecony i gorliwy Polak odstrychnął się od wuja swego Branickiego, stanął na czele dobrze myślących posłów litewskich. Sprawę z Sanguszkami i z sądem lubelskim poddał pod sąd polubowny kolegi swego marszałka Małachowskiego, aby urazy nie różniły sejmu. Pogodził się z Sanguszkami, zasłynął wymową, której palma słusznie mu należała, popierał nią wszystkie zbawienne tego sejmu dla kraju ustawy, przeważnie należał do ustanowienia konstytucyi 3 Maja, bronił jej i wiernym do końca pozostał. Podczas konfederacyi targowickiej usunął się do Drezna z wszystkimi równie jak on myślącymi towarzyszami. Roku 1794 stanął nie jak generał, lecz jak prosty kanonier i mimo krótkiego wzroku armatami kierował. Kościuszko wyprawił go do województwa lubelskiego, aby powstanie przyspieszył, zjechał do Lublina i tu dał publiczny dowód swego szlchetnego i prawdziwie patryotycznego sposobu myślenia. Został już zgromadzonych obywateli na sam odgłos powstania gotowych do przystąpienia do aktu. Znajdował się i mój ojciec w Lublinie. Książę Šapieha stał na Korcach u Gizowskiego Węgrzyna, mój ojciec u Reformatów. Obywatele, przyjaciele obydwóch stron umyślili pojednać tych dwóch antago-

nistów i oświadczyli memu ojcu, że książę pytał się o niego, z szacunkiem mówił o nim i pierwszy iść do niego oświadczył się. Mój ojciec umyślił go uprzedzić. Szliśmy tedy do niego, gdy z okien otwartych spostrzegł książę idących nas ku jego mieszkaniu, wybiegł na ulicę bez kapelusza, ubrany w sukmankę krakowską i, zbliżywszy się do mego ojca, uklęknął przed nim i zawołał: „Sędzio kochany daruj, przebacz szaleństwa przeszłe dla miłości ojczyzny; przepraszam cię tu, w obec całego obywatelstwa, łączmy się wszyscy w jeden węzeł, ratunek kraju potrzebuje naszych ramion“ i rzucił się na szyję ojca mego; tak publicznie się uściskawszy udali się na rynek, gdzie Sapieha, wstąpiwszy na stół, ognistą mową zachęcił mieszkańców, i wszyscy zaraz na ratuszu akt powstania podpisali. Sapieha, ciągle służąc w obozie Kościuszki, po wzięciu przez wojska rosyjskie Warszawy udał się do Wiednia, tam z smutku i rozpaczy rzuciwszy się w dawne nałogi rozpusty i zbytniego używania trunku, na którym zwykle nałogowi pijacy kończą, tak krew w sobie popsuł, że felczer, czyniący mu operacyą, zraniwszy sobie palec nieotartym z materyi lancetem, gangreny dostał. — Umarł wkrótce Sapieha w Wiedniu, i wszystkie znakomite zalety w czterdziestym roku życia w grobie zagrzebał. Dodać tu winienem do tego opowiedzenia, że hetman Branicki do żadnych tych emulacyi Sapiehy z ojcem moim nie należał. Owszem napisanym do mego ojca listem zapędów swojego siostrzeńca nie tylko nie potwierdził, lecz je naganił.

### Dalszy ciąg wspomnień z roku 1787 i następnych.

---

Roku 1787, w którym się powyższa sprawa sądziła, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, król Stanisław August, z dworem swoim przejeżdżał do Kaniowa. Unikając przyjęcia, minął miasto i stanął na Tatarach, w domu przygotowanym przez Mniszcha, marszałka w. koronnego, starostę lubelskiego. Został przy drzwiach kilku urzędników wojewódzkich, a na ich czele Tomasza Dłuskiego, podkomorzego lubelskiego, który był popadł w niełaskę, i który, szukając sposobności przybliżenia się do króla, obrał tę, jako gospodarz województwa, i króla powitawszy oświadczył mu służbę około osoby jego czynić dawnym zwyczajem owych czasów, w których królowie, zwiedzając województwa, powierzali ją swoim urzędnikom wojewódzkim, i w tym celu urzędy nadworne zostawili przy ziemianach. Król mile przyjął to oświadczenie, lecz prosił siedemdziesięcioletniego starca, aby pofolgował wiekowi, ale podkomorzy odwieść się nie dał i pełnił służ-

bę szambelana. Był przy królu biskup Naruszewicz marszałek Mniszech, Onufry Kieki i wielu innych panów. Biskup Lenczewski dawny dyrektor króla przedstawiony mu został. Król go czule uściskał, o ojcu swoim i młodości swojej uprzejmie rozmawiał, czem oczarowany starzec napisał wiersze li-che niezmiernie, lecz z całym wylaniem się wdzięczności, były to prawdziwe kantyczki, oddał je królowi przez ręce Naruszewicza.

Zjawily się podówczas w lubelskiem, z wielkim przestraczem mieszkańców, najazdy zbrojnego żydostwa na szlacheckie domy, tak, że mieszkańcy ziemscy musieli domy swoje obsaczać na noc uzbrojonymi strzelcami, aby spokojnie przespać ją mogli, i każdy dom opatrywał się w liczne i zawsze nabite pistolety i strzelby. W sam dzień Trzech Króli najechano szlacheca, pod Krasnystawem mieszkającego, Kulbackiego, u którego hultaje izraelscy przepatryli pieniądze. O północy więc kilkunastu z bandy zloczyńców śpiewali kolędę, a drudzy zakradli się podedrzwi, a gdy szlachcie wyszedł do nich pochwycili, męczyli, zabili i dom zrupili. Podobna zbrodnia spełnioną została przez żydów w Trzydniku, czyli Rzezycy pod Kraśnikiem. W parę niedziel pochwytano hultajów na podobnym uczynku, którzy współników wydali. Główny herszt uchwycony uszedł z więzienia, powtórnie schwytny bronił się. Nie ustały te rozboje aż po okropnej egzekucyi winnych za dekretem sądu ziemskiego, której byłem świadkiem; czterech żydów powieszono za miastem, po śmierci herszta ćwiertowano i ćwierci te wisiały długo na murowanej szubieni-

cy, jako pastwa kruków. Jednego, który wiarę katolicką przyjął ścięto na rynku. Patrzyłem na tę okropną scenę z okna na drugim piętrze. Szczęściem, że stojący za mną kolega trzymał mnie za suknię, gdyż zamach katowskiego miecza, spadnięcie głowy i krew na piasek bryzgająca, tak zaćmiły mi oczy, iż byłbym spadł z drugiego piętra, gdyby mnie był mój towarzysz nie utrzymał. Rzecz szczególna, widok ten taki mi dał wstręt do mięsa, że przez miesiąc cały patrzeć na nie i pożywać go nie mogłem. Król mówił z moim ojcem o tej okropnej egzekucyi, i zdawał się z jednej strony czuć potrzebę policyi w kraju, w którym prawie żadnej nie było, z drugiej użyteczność łagodniejszych praw kryminalnych, mniemając, że tego rodzaju kary publiczne więcej przyzwyczajają lud do okrucieństwa, jak odrażają od zbrodni. Jakkolwiek bądź kara tak przeraziła hultajstwo żydowskie, że najazdy ustały.

W kilka niedziel król powracał z Kaniowa, nie jechał na Lublin może dla nie zbliżenia się do Puław, gdyż od sprawy Dugromów i od sejmików podolskich poróżnił się był z księciem Adamem. Obrócił drogę na Żółkiewkę, spoczywał dzień w domu Stamirowskiego, eksstarosty krasnostawskiego. Tam mu obywatelstwo lubelskie zajęchało drogę; był wesół i kontent z swojej wizyty w Kaniowie i zlemi drogami na Studziankę i Rachów udał się do Warszawy. W Studziankach u obywatela Brodowskiego jadł swój własny obiad. Córki tego obywatela śpiewały mu polskie piosneczki i obdarzone zostały prezentami.

Po przejeździe króla zaczęły się rozchodzić wieści o wojnie między Rosyą, Austryą a Turkami, do której w Kaniowie miała być Polska wciągnięta; o połączeniu się Prus z Anglią dla zrobienia dywersyi ku uratowaniu Porty Otomańskiej. Zaczęto szeptać i rozbierać, co w takim razie Polsce czy nie należy; uznawano, że w tem poróżnieniu monarchów, którzy podzielili Polskę, nadchodzi dla niej pora jedyna i niepowrotna ratunku lub zguby, i że korzystać z niej należy. Pod temi wrażeniami zbliżał się czas sejmu 1788 r. Moźni panowie zaczęli rozpisywać listy do obywateli z oświadczeniami swych usług. Przy wyborach posłów w lubelskiem, te same insynuacye wyszły z Puław i już nie wątpiono, że ksiązę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, stawi się między kandydatami na przyszłe wybory, ksiązę ten był podówczas w poróżnieniu z dworem i za sprawę Dugromów, i za sejmiki podolskie. To nieukontentowanie skłoniło go do przyjęcia służby w wojsku austryackiem. Józef II mianował go komendantem gwardyi galicyjskiej, ksiązę z powyższego doświadczenia i z wiadomości układów nastąpionych w Kaniowie podziarał króla czyli nie będzie mu przeszkadzał do osiągnięcia poselstwa, król zaś Stanisław, bynajmniej o tem nie myśląc, uwiadomiony o tem podejrzliwym uniemaniu księcia rozpiisał własnoręczne listy do swoich przyjaciół w lubelskiem, upoważniające ich do zapewnienia księcia, że mu nietylko przeszkadzać nie myśli, ale najmocniej sobie życzy, aby w tak ważnej dla Polski chwili, ksiązę zaszczycił sejm swoją osobą. Jeden z takich listów otrzymał mój oj-

cie z poleceniem, aby go księciu ukazał. Ojciec mój dopełnił tego, lecz książę odpowiedział:—Twoje wotum i życzenia pewny jestem, lecz król jegomość, przez sejmiki podolskie dowiódł mi, jak ostrożnie ufać trzeba jego słowu. — Zaczęły się więc częste i liczne zjazdy obywateli do Puław, byłem z ojcem na jednym z nich, na który spodziewano się przybycia Szczęsnego Potockiego, wojewody ruskiego, od sejmu r. 1787, na którym regiment swoim kosztem dla Rzeczypospolitej wystawić przyrzekł i dwaście armat ofiarował, prawdziwego bożyszcza patriotów polskich. Przygotowano teatr i miano grać przez Książnina napisaną sztukę: „Matka Spartan-ka”, której aktorami byli: młodzi książęta Adam i Konstanty, księżniczka Zofia, sama księżna generałowa i kilku synów obywatelskich przybranych ze szkół lubelskich. Zgromadzenie było nader liczne i świetne. Przybyli tam: hetman polny Seweryn Rzewuski, Kazimierz pisarz w. koronny, czterech czy pięciu Potockich, Ignacy marszałek, Stanisław ekspodstoli koronny, Jan brygadyer, Piotr starosta, Dłuński starosta łukowski, Witosławski oboźny i innych wielu panów i obywateli lubelskich, oraz z duchowieństwa: Piramowicz, Kobylański i t. d. Nie zjechał Szczęsny Potocki, i „Matka Spartan-ka” odłożoną została. Uczty i tańce trwały przez dwa dni. Obywatele zaprosili księcia na poselstwo. Schodzono się na śniadanie o godzinie 11-ej; jakie było zadziwienie obywateli, gdy książę na tem śniadaniu ukazał się w mundurze austriackim swego regimentu, jak pamiętam, białym z tabaczkowemi wyłogami, w butach z ostrogami i w orderze na wierzch

orła białego. Zasmuciły się wszystkich twarze i szlachta kontuszowa szeptać między sobą zaczęła. Ojciec mój, wielki przyjaciel Witosławskiego, oboźnego koronnego zrobił mu uwagę, iż przyszlemu posłowi nie przystało przed wyborami w obcym mundurze wystąpić. Uznał tę uwagę za słuszną oboźny koronny, oświadczył, że jest słabością księcia razy kilka przebierać się na dzień i księciu na samotości uwagę tę powtórzył. Przed obiadem już sam książę i prawie wszyscy panowie okazali się w mundurach wojewódzkich. Podczas stołu gospodarz, który wina nie pijał, wychylił kielich za zdrowie obywateli województwa lubelskiego. Po obiedzie i wzajemnych uściskach z gośćmi, stanął przed kominem. Turczyn przyniósł mu lulkę na długim ozdobnym cybuchu, przetknął aloesową drzazgą i zapalił. Pomiędzy obywatelstwem znalazł się ów Jan Dmóchowski, dependent niegdyś ojca mego, i jak wyżej opisałem, burzliwy przewodnik sejmików deputackich, a już podówczas kapitulowany plenipotent królewski. Książę, spojrzawszy na niego blisko siebie stojącego, kazał przynieść wina szampańskiego, i wychyliwszy kielich za zdrowie przyjaciół, oddał Dmóchowskiemu, mówiąc:—Panie Dmóchowski, może staniesz przeciw mnie na sejmikach, pamiętaj waść, że ja nie Dmochowski.—Usłyszała to księżna, przybiegła, kazała sprzątnąć kielichy i butelkę i rzekła: — Idź mężu spać, bo ty jesteś burda, jak się upijesz.—Książę zaczął się śmiać, i zabawiwszy kilkanaście minut, z wesołością i z grzecznością wyszedł. Nazajutrz odbyły się wyborowe narady; książę generał Stanisław Potocki ekspodstoli, Dłu-

ski starosta łukowski, Rzewuski pisarz w. koronny i starosta urzędowski, oznaczeni zostali na przyszłych posłów.

W kilka niedziel na parę dni przed nadeżdżającym sejmikiem, ojciec mój, mój brat starszy i ja z nimi, jechaliśmy w jednym pojeździe do Lublina. Wyjechawszy za Wrotków spostrzegliśmy gęste dymy, tułające się po nad rzeką na łąkach. Gdyśmy się zbliżyli i przebyli most na grobli lubelskiej, uderzył nasz wzrok na łąkach po prawej stronie grobli ku Tatarom ogromny obóz, jak koczowisko hordy Tatarów, którym się zabłąkitniła cała ogromna przestrzeń. Ujrzelśmy białe namioty — szatry na kijach płachtami okryte, budy z gałęzi przed niemi gorejące płomieniem ogniska, przy których zarzynano woły i pieczono na rożnach całe ćwierci. W środku to przy stołach, to przy zydlach, to na ziemi w kuczkach siedziały tłumy i pożerały strawę. Inni przy beczkach piwa i miodu, przy kufach gorzałki ze wrzaskiem i hałasem, szklankami, garneczkami, dzbankami raczyli się trunkiem i wykrzykiwali wiwaty. Były i koła probujące pałaszów i ścinające się w nie. Tabor kilkuset koni pasł się i wałęsał między tą zgrają, a rozstawione powózki podlaskie w liczbie kilkuset jednokonne, hołoblane, z hołoblami do góry otaczały ten obóz po bokach i formowały tabor. Co to jest? zawołał mój ojciec spotkawszy kilku szlachty na grobli, ci odpowiedzieli: „to partia podlaska naszego księcia”. Ledwieśmy wjechali na przedmieście ku Dominikanom, spotkaliśmy taczające się po drodze tłumy szlachty w kapotach, opończach, przy szablach; ledwie z tru-

dnością mogliśmy się dostać przed kamienicę. Gdyśmy wysiedli, nim się mój ojciec przebrał w inną suknię, przyszło do niego kilku obywateli miejskich i wiejskich z zażaleniem, że niema bezpieczeństwa żadnego w mieście, że głowy bez obawy porąbania wychylić nie można na ulicę, że musiano i w mieście i na żydach pozamykać sklepy, że szlachta je odbija i rabuje, że spotkawszy słusznego obywatela Janiszewskiego z Bychawki, sądząc, że to Dmochowski do którego miała jakąś niechęć, a sądząc dla tego że był rudy i nizki, chociaż tamten był prosty, a ten kulawy przy zagrzanych trunkiem głowach zrabowała go, iż poranionego i obronionego przez brata musiano zanieść do domu; że chorążego lubelskiego Poniatowskiego napastowała na ulicy i chciała mu oberwać szablę z bogatą rękojeścią, i byłoby przyszło do walki, gdyby ten odważny starzec silnem i śmiałem stawieniem się i przybyciem kilku przyjaciół nie był odtrącił od siebie tej napastnej czeredy; że mecenasowi i obywatelowi osiadłemu Podchorozeńskiemu okna wybiła, a na jego wyrzuty że nie przystoją na szlachtę gwałty i rabunki, odpowiedziała kamieniami i głowę mu zraniła; prosili więc ojca mego o wstawienie się do księcia, aby ten tłum na pół dziki kazał wyprowadzić z miasta, zakazał poić i do miasta wpuszczać. W godzinę potem przybyli do mego ojca, obozny Witosławski i kilku przyjaciół księcia z powitaniem go i z zaprosinami do księcia. „Miałem zaraz udać się do księcia jegomości—rzekł mój ojciec—ale po tem co się dzieje (tu opowiedział im wszystkie dokonane gwałty), nie ruszę się bez *Salvum conductum* od

księcia, bo nie śmiem mojej osoby narażać na niebezpieczeństwo”. Ci mu odpowiedzieli, że wie już książę o niektórych wydarzeniach, cierpi na nie i już rozesłano do dowódców każdej podlaskiej wioski osobno koczującej, aby rozbujających panów braci w porządku utrzymali. Nie mało to kosztowało księcia i perswazyi i pieniędzy, bo każdy dowódzca dopiero przyrzekł porządek utrzymać, gdy wziął kilkanaście dukatów na rękę. Książę uprzedził ojca mego z swoją wizytą, a gdy wszedł do jego pokoju z panem Stanisławem Potockim i z innymi panami rzekł: „sędzio kochany nie posądzaj mnie, żebym upoważniał te wypadki lub nie cierpiał na nie, których sobie panowie bracia szlachta łukowska dozwoliła, już ich uprosiłem, że się nie powtórzą”. „Ale mości książę w tej pewności, że jednomyślnie wykrzykniętym będziesz na posła, bo o to prosić Wksmość nam należało, jakeśmy to uczynili, niż jemu się starać, czy potrzeba było taki tłum sprowadzać, z którego wielu nigdy miasta nie widziało”. „Mój sędzio—odpowiedział książę—kto się na gorącej wodzie sparzy, ten na zimno dmucha; wreszcie mniej tu ja, jak moi zbyt gorliwi przyjaciele i oficyaliści są winni. Ale ja tu przyszedłem cię prosić abyś się pozwolił wpisać na listę kandydatów. Nie odmawiaj — ja ciebie w imieniu ojczyzny wzywam, już z tobą będziemy mieli pięciu kandydatów, szósty może się nam w kościele objawi. Sejm następujący będzie nader ważny, okoliczności sprzyjają, albo teraz albo nigdy”. Staliśmy wtedy obok naszego ojca, ten rzekł: „Mości książę, sejm przyszedł potrwać i może stać się nieustającym, na tak długą posługę

w stolicy ci mi nie pozwalają”, i wskazał na nas, „przy tem urząd mój sędziego przywiązuje mnie do Lublina, nie mógłbym razem dwom obowiązkom wydostać. Książę na to uściskał nas, zaczął głaskać, mówił: „przeczyńcie się do ojca, ja krajowi, jemu i wam prawdziwie dobrze życzę. Nie odmawiaj kochany sędzio! nie lękaj się wydatków, będziesz stał w moim domu i żyć będziem, jak przyjaciele, a urząd twój zastąpi popsędek lub na kadencyą będziesz mógł zjechać”. „Mości książę wydatków się nie lękam gdy idzie o dobro kraju, lecz książę znajdziesz wielu zdolniejszych ode mnie, co przyjmą tę posługę i ofiarę Wksęcej mości”. Lecz książę nie ustąpił, użył tyle czarującej uprzejmości, czułości, uścisków i próśb, że nakoniec ojciec mój przyjął kandydaturę. Kto był? co był książę generał Czartoryski, wie nie tylko Polska lecz Europa. Nie-wiedzących odsyłam do biografii jego przezemnie na wezwanie syna jego najstarszego napisanej, a na francuski język przełożonej i drukowanej, oraz do pochwały jego przez Fryderyka hrabiego Skarbka, w towarzystwie przyjaciół nauk wyrzeczonej. Tu tylko co do samej osoby jego dodam. Uczony, utalentowany, szlachetny, dobry, wspaniały, ludzki, dowcipny, wesóły, żartobliwy, ozdobiony wszystkimi wzniosłymi przymiotami serca i duszy czarował niemi. Nikt nad niego nie był więcej stworzony do republikańskiego rządu; pod suknią francuską, przy zagranicznym wychowaniu Polskę nad wszystko kochał. Polskie obyczaje, towarzystwo lubił, i wszędzie i z obojętnością, i z uprzejmości, i z zachowanych około siebie zwyczajów polskim się obywatelem

okazywał. Nikt też większej popularności, czci i miłości ziomeków nie dostąpił, tak co w innych urodzenie, tytuły, bogaetwa, znaczenie samą postać za arystokracją poczytywano, w nim jako wrodzoną powagę i godność wielbiono.

W wilgilją sejmików przybył do Lublina książę Eustachy Sanguszko udał się do księcia i oświadczył ehęć podania się na kandydata, a że już miejsca nie było dowiedziawszy się, że mój ojciec zagnalony jedynie kandydaturę przyjął, przyszedł do niego z prośbą, aby mu jej odstąpił. Chętnie to mój ojciec uczynił i w dzień sejmiku udano się do kościoła. Lubo nie spodziewano się żadnego gwałtu i zгода była prawie pewną, jednak uważałem, że prócz księcia, który był we fryzurze, w kapeluszu i w mundurze lubelskim, inni panowie jak Stanisław Potocki, Rzewuski, Sanguszko, mieli na głowach czapki, grubo watowane i przy mundurach nie szpady, lecz na bandulierach pałasze. Tłum nie mógł się pomieścić w kościele, nie mała część szlachty została na błoniach nad Bystrzycą przy szatrach, beczkach i kufach, druga napelniała kurytarze i dziedzińce klasztoru, ogon jej włóczył się po ulicach. Przecież sejmik odbył się spokojnie, wykrzykniono jednomyślnie wszystkich kandydatów, do których przybył stolnik Wybranowski sędziwy i zacny obywatel, którego szlachta lubelska na rękach przyniosła przed marszałkowski stolik. Książę w krótkiej mowie podziękował braciom za wybór. Pierwszy raz wtenczas usłyszałem głos pana Stanisława Potockiego, wymowny acz nie przygotowany. Po wyjściu z kościoła udali się wszyscy obywatele na obiad

do księcia. Po przygotowaniu laudum i instrukcyi dla posłów, zaczęto się rozjedzać, a szlachtę rozwozić, znikł tabor z łąki, lecz jeszcze przez tydzień cały pełno było włóczęgów z szablami i po mieście. Przecież, że trybunał zaczął swoje posiedzenia i garnizon powrócił do miasta, równie w mieście katolickim, jak żydowskim ustaliło się bezpieczeństwo i spokojność, jednak jak na każdym prawie sejmiku tak i na tym dwóch czy trzech szlachty umarło z pijaństwa, tyleż zleciało z drugiego piętra z okien i potłukło się lub zabiło.

W przerwie czasu między tym sejmikiem a rokiem 1791, w którym już prawo sejmowe 1788 przepisało porządniejszy sposób sejmikowania i przez surowe kary zabezpieczyło osoby od gwałtów, byłem jeszcze świadkiem już mniej tłumnych, lecz tym samym trybem odbywających się zgromadzeń. Wspomnę wypadki na nich wydarzone; dla wiadomości obecnego nieświadomego dawnych instytucyi polskich pokolenia i dla ułatwienia mu pojęć co to jest, to głosowanie powszechne z ogniska wszystkich teoryi i szaleństw z Paryża ogłoszone jako szczyt rozumu <sup>1)</sup>, którego ten kraj tak oświecony stał się teraz igrzyskiem, a my padliśmy jego ofiarą. Choć u nas 300,000 ludności, na szesnaście milionów ten przywilej służył, a we Francyi czwarta część mieszkańców do użytkowania z niego przypuszczoną została. Nigdy ludzie z doświadczenia korzystać nie będą. *Felix quem faciunt, aliena pericula cautum.*

<sup>1)</sup> Pisane było w r. 1848.

W dawnej Polsce każdy szlachcic chociażby posiadłości nie miał, mógł być elektorem z tytułu, że szlachcic. Służba nawet prywatna nie wyłączała go. Wioski szlacheckie w pomieszonym sposobie przez szlachtę zagonową i chłopstwo zamieszkałe były. Jak zabudowania szlacheckie nie różniły się od mieszkań włościańskich, chyba gdzie niegdzie jakim dworkiem, tak mieściły w sobie ludność prawie w niczem, co do obyczajów nie oddzielając się od chłopstwa. Szlachtę jednak można było rozpoznać po kroju sukien, po kolorze, a szczególnie po szabli przy boku, której nawet na jarmarku nie odpasywała. Bardziej ona podobną była niebieskim kolorem kontuszów, kapot lub opończą z szarego sukna do mieszczan rolniczych osad, niż do chłopów. Zbliżała się atoli do tych ostatnich rzadko ogoloną brodą i wąsami nieschludnie utrzymywanymi, buty musiały być konieczne na obcasach dla różnicy od podkuwek chłopskich, lecz brudne i cuchnące dziegciem. Kobiety uboższej szlachty ubierały się jak mieszczyki w jupki, w półsalopki z białym futrem, lecz konieczne w kornecie merlowym lub gazowym z kwiatkiem lub wstążką, które od majątniejszych obywaterek dostawały. Szlachcic najuboższy czy na jarmark, czy na odpust, czy na sejmik, jechał konno na lichej szkapie, lub z żoną bryczką kutą, jeżeli jej nie miał, przysiadł się do sąsiada; miał za ubliżenie godności szlacheckiej, jechać wozem niekutym, w pokładach bez kilimka. Wołał żyda spędzić z kutego wozu i przymusić go aby go wiozł gdzie mu kazał; gdy szlachecka bryczka zaturkotała, chłopci zwykle zstępowali z drogi

i zdejmowali czapki. Zyd zaś obejrzawszy się zaciął konie i uciekał, jeżeli się przypadkiem mijali szczęśliwy był gdy go szlachecki woźnica, zaczepiwszy osią o wóz jego, nie wywrócił i biczem po skórze nie wysmagał. Szlachta tego rodzaju zamieszkała w okolicznych wioskach, powszechnie wybierała sobie z najbliższych mieszkających obywateli swego patrona, któremu już dopisywała na sejmikach, zjeżdżała się do niego, w święta wstępowała z kościoła, nie żeby się dowiedzieć, co się dzieje w kraju, lecz po nakarmienie się lepszą strawą, po zakosztowanie wina, miodu lub piwa; po jaką radę lub protekcyą w sprawie, po otrzymanie jakiego daru z trzody lub stada, po pozwolenie wrębu do lasu lub pastwiska na niwie sąsiedniej. Niechże Bóg zachowa odmówić któregożądania, zabór uczynić w trzodzie, siekierę lub strzelbę zabrać, zemsta nieubłagana i odplata wotami i obelgami na sejmikach. Prażmowski starosta mszczonowski, który dla swojej oryginalności godzien jest obszerniejszego wspomnienia, paryżanin z postaci, że wchodzącemu do siebie szlachecowi z Sobieszczan, przy szabli wprawdzie, lecz w kozuchu i w butach dziegciem wysmarowanych, powiedział, nie mogąc znieść nieprzyjemnego odoru: „proszę zdjąć ten kozuch w przedpokoj<sup>7</sup>”, nigdy się na sejmikach pokazać nie mógł i wieś Sobieszczany mijać musiał.

Majątek ojca mego był sam nie wiem czy szczęśliwie położony. Otaczały go o granicę trzy szlacheckie ludne wsie: Staławieś, Tarnawka i Sobieszczany, obejmujące przeszło dwieście szlachty zagonowej i cząstkowej, między którą znajdowało

się wielu naszych krewnych z ojca i przodków jego. Skoro zbliżały się sejmiki już się dom nie zamknął od nawiedzin, nie dość było przyjmować, karmić, pić przemijających się kolejną gości, potrzeba było jeszcze obmyśleć na drodze do Lublina dla podróżujących po karczmach wygody, na popasy i noclegi, opatrzyć je słomą, sianem, obrokami, posługą. Temi stacyami były powszechnie Gałęzow, Prawiedniki, Bystrzyca, Piotrowice. Folwark i karczmy choć na ubocznej drodze leżące, przyjmowały tych gości podróżujących na sejmikach. Wprawdzie we wsiach ojca mego nie brakowało na kucharkach i kucharzach z dawnych kuchtów ożenionych, osiadłych na wsi, robiących pańszczyznę lub służących dworsko za gajowych, strzelców lub lokai. Ci musieli przypomnieć sobie dawną swoją sztukę i w tych najętych oberżach kuchmistrzować, a leśniczowie, ekonomowie, pisarze i domownicy krewni lub szabelni szermierze, których obywatel przy sobie żywił i odziewał marszałkowali lub gospodarzyli. W Lublinie już musiały być zamówione stancye i umieszczenia i opatrzone w trunki, żywność i posłania. Jeżeli partya była bardzo liczna mieściła się w części na Piaskach i na Wieniawie. Ponieważ sejmiki odbywały się zwykle w lecie lub w wczesnej jesieni, najmowano powszechnie dla ojca mego dom za kościołem pojezuickim pod górą, nie mieszkalny, nie tynkowany bez okien i drzwi lecz pod dachem, Duchena zwany, na przeciw którego był dom zamieszkały gdzie można było kuchnię założyć. Dom pusty był przeznaczony na nocleg dla braci szlachty, dla której nawożono tam

słomy i siana na posłanie. Niektórzy mieścili się po klasztorach, po stajniach i zabudowaniach klasztornych. Jedli na kurytarzach zakonnych lub na takichże kurytarzach w kamienicy pojezuickiej ojca mego, gdzie osiemdziesiąt osób za stołem pomieścić można było, a biesiadnicy mieniali się koleją, o co nieraz do bitwy i scen przychodziło. Stoły pokrywano prostemi obrusami, talerzami cynowemi których podostatkiem było w domu. Sztuce kładziono w drewno poprawne proste, łyżki cynowe, lecz gdy te szlachta łamała lub brała, zastąpiono je blaszanemi. Przecież trudno było dostarczać tych porządków stołowych. Codziennie nikły ze stołu nie tylko noże, łyżki, widelce, lecz obrusy. Musiano płótnem i gwoździkami objąć stoły. Patrzałem na to, jak podczas obiadu wszedł nieznamy mi szlachcic w szarej z kapturem na plecach opończy, i zaczął się cisnąć do obsadzonego już stołu, mówiąc: „panowie bracia, wy jecie a ja głodny, od wczoraj nie jadłem”. „Czemuż waś nie pospieszył, nie naprzykrzaj się”, lecz gdy szlachcic ciągle się pchał między obiadujących i wyrwał drugim widelce, zawsze powtarzając: „Ja nie nie jadłem”, wypchnięto go od stołu. W tem hajduk niesie na stół ogromną i głęboką misę gorących i kurzących się flaków. Szlachcic wypchnięty porywa za nią i wołając: „ja nie nie jadłem”, łyka flaki i parzy się. Współbiesiadnicy zrywają się od stołu, jeden mu wydiera misę, drugi rozdziera kaptur z opończy, drudzy wołają: „nasyć się waś, kiedyś nie nie jadł” i całą misę gorącej strawy wlewają w kaptur. Szlachcic parzony w plecy flakami, wrzeszczy i ska-

eze, zrywają się drudzy z widelcami, chcąc jeść flaki z kaptura, kolą nieboraka i kaleczą, wrzask, hałas, aż nakoniec obrywają kaptur z flakami, wylewają na misę i jedzą. Podobny wypadek widziałem i na innym sejmiku z półmiskiem pirogów; porwał go głodny szlachcic, uciekał z niemi, inni gónili, wpadli do mojej stancyi, szlachcic broniąc półmiska wysypał tłuste pirogi w komin pełny popiołu, drudzy go odepchnąwszy, wybierali strawę z popiołu i jedli.

Na innym sejmiku, w porę letnią przypadłym, w której jako na długich dniach dawano szlachcie kolacye, przeciągające się aż do świece, przyszło do głowy kucharzowi mego ojca uraczyć gości kompotem z czarnych wiśni. Z początku panowie bracia jedli, gdy im się sprzykrzyło wybierać pestki, zaczęli się mazać i farbować, następnie rzucać wiśniami na siebie, i wkrótce cała gromada wydawała się jak zakrwawiona. Przybywający nowi tego rodzaju goście myśląc że to skutek jakiejś bójki, zaczęli się brać do szabel. Gronu temu z uproszenia mego ojca przydował szlachcic z Sobieszczan, niejaki Chodkowski rębacz i odważny. A że zawsze między wioskami szlacheckimi Tarnawką, Starąwsią i Sobieszczanami była jakaś emulacya o preminencyą, nie podobała się ta prezydencya ile szlachcica z mniejszej wieski Tarnawianom i Starowsianom. Chodkowski, patrząc na tę walkę wiśniami, ozwał się do nich: „panowie bracia przestańcie szaleństwa, będą o nas myśleć żeśmy się porąbali“.

„A to waść nas wyzywasz, wrzasła Tarnawka i Starawieś, nie nauczaj nas waść, my waści nauczemy,

i zgasiwszy świece porwali się do szabel, tłumem le-  
cąc na niego". Chodkowski, przytomny i silny, w cie-  
mności odpycha napastników, dobywa pałasza  
i oparłszy plecy o okno, macha nim, obcina palce,  
rani głowy i twarze, już nie sok wiśniowy bryzga.  
Wołają ojca mego przyboczni przyjaciele, Rze-  
czycki, Sobieszczański, Dobek, Wścieklica". Bra-  
cia szlachta nie rozlewajcie krwi! spieszą ze świa-  
tłem ledwie zdolają rozbroić zajadłych; jedni grożą,  
drudzy wyrzekają, ranieni płaczą. Scibor z Sobie-  
szczan postradał palce, a kilku nabawiło się kre-  
sów po czołach i twarzach. Musiano Chodkowskie-  
go zamknąć w stancyi ojca mego, bo szlachta roz-  
siekać go chciała. Ledwie przytomność mego oj-  
ca uspokoić zdołała wrzawę, pochwycono go na rę-  
ce, noszono po kurytarzach; tyle zyskał z tego  
tryumfu zgody, że mu winem i krwią poplamiono  
mundur. Szczęściem nie był przytomny tej scenie  
Domaradzki szlachcic z Starejwsi, wielki rębacz  
i burda. Przy nim nie tak łatwo byłaby uspokojona  
burza. Powiem o jego wypadku na innych sejmi-  
kach. Był to szlachcic czytać i pisać nieumiejący,  
Herkulesa postaci, wysoki barczysty, żyłowaty, śre-  
dniego wieku, już szpakowaty, groźny siłą, kuflem  
i szablą, tak na jarmarkach jak na sejmikach. Mój  
ojciec trzymał go przy sobie jak asystenta, dał mu  
funkcyę leśniczego, jurgielt, parę sukien co rok,  
i brał go z sobą na sejmiki. Szlachta lubelska za-  
czepić go nigdy nie śmiała; owszem za przewodni-  
ka uważała. Na sejmiki ubierał się w mundur lu-  
belski, który mu mój ojciec darował, a że on był  
wyższy od mego ojca, a ten otylszy od niego, strój

ten, którego biały żupan był dłuższy od kontusza a kontusz buchasty, śmiesznie się na nim wydawał. Włócząc się on pomiędzy szlachtą po nocach zdarł ze szlachtą lukowską, która się na niego porwać nie śmiała, lecz zemstę ważyła. Po odbytym sejmiku, na którym on stał przy moim ojcu, zaczęła się na niego na dominikańskich kurytarzach; jedni go dyskursem w kościele zabawiali, aby nie wyszedł wraz z moim ojcem, drudzy, gdy ten przeszedł, czekali na niego, a skoro Domaradzki przekroczył próg kościoła, krzyknęli: „tuś zuchu” i napadli z dobytymi szablami. Porwał się nasz Herkules do pałlasza i już kilku dobrze naznaczył, gdy klinga od szabli z rękojeści w powietrze wyleciała. Szlachta go rąbie bezbronno, lecz przez czapkę choć na kawałki pociętą, rany nie są głębokie, krew jednak płynie. Przytomny Domaradzki chwytając nacierającego szlachcica między swoje barki i tłucze nim na pastników. Szlachcic nieszczęśliwy odbiera rany za niego, a wrzeszcząc „dajcie pokój” machaniem szabli broni od ran swego nieprzyjaciela. Nakoniec Domaradzki, spostrzegłszy pod ścianą stół stojący, puszcza szlachcica, a sam schroniwszy się pod niego bierze stół na głowę, tłucze nim szlachtę ciupającą szablami po deskach stołu i tak przepycha się na ulicę, tam zemdlony upada, szlachta jeszcze mu kilka ran w gołą głowę zadaje; przybiega szlachta lubelska, odpędza zacieczonych, a jeden z nich daje ojcu memu wiadomość, że Domaradzki na śmierć porąbany leży na ulicy bez duszy. Ojciec mój wychodził wtedy na zaproszony obiad, posyła natychmiast dwóch swoich asystentów, daje parę

dukatów na doktora i felczera i poleca umieścić go w szpitalu Panien Miłosiernych. Jakie było zadziwienie mego ojca, gdy w kilka godzin, wróciwszy z obiadu, ujrzał przed sobą Domaradzkiego, zbrozonego wprawdzie krwią, lecz z podchmieloną dobrze głową upstrzoną kilkunastu białymi paskami papieru, któremi zawrzałe rany pozalepiał. Ojciec mój się odezwał: „żyjesz przecież, a ja tam posłałem parę dukatów na doktora, felczera i lekarstwa”. Dziękuję panu, użyłem ich też dobrze z bracią szlachtą i przygotowany jestem jutro się z nimi spotkać, proszę tylko pana o szablę. „Ale jesteś raniony— przebóg!” „To tylko zadrasnęli mnie”. „Ale zemdlałeś?” „Ja się zataiłem, żeby mnie był kto szablę podał byłbym ich rozumu nauczył, ale co się odwlekło, to nie uciekło”. Mój ojciec, obawiając się nowej burdy, wyprawił go niezwłocznie na wieś.

Na innym sejmiku ja sam, nie mając wtedy jak lat 18, miałem następujący przypadek. Ubie-rałem się po polsku, byłem na sejmiku w mundurze lubelskim i przy szabli. Po sejmiku na obiedzie u ojca mego nosiła mnie szlachta na rękę, huśtała do góry i wypijała moje zdrowie. Wieczorem, chcąc wyjść na przechadzkę, zrzuciłem z siebie mundur a wzięłem kapotkę z sukna *Vert de dragon* z wyzłacanemi i świecącemi guzikami, jakie podówczas noszono. Powracając spotykam tę samą szlachtę która mnie przed paru godzinami na rękach nosiła; zastanowiła się, przypatruje się i jeden do drugiego odzywa się „oberznij mu te guziki” i już słyszę za sobą krzyk „łapaj go i obedrzym”. Domyśliwszy się, że o moją skórę idzie i obejrzawszy się że mnie

gonią, zacząłem, a że to było w bliskości kamienicy mego ojca wpadłem do niej i szybko biegnąc po ciemnych schodach, słysząc za sobą tupot, niesiony trwogą, wpadłem aż pod strych, nie wiem jakim sposobem wdrapałem się po murze pod sam dach i, zataiwszy dech, skryłem się pod krokiew. Na hałas wszczęty na kurytarzach i na głos służącego „panicza gonia“ wybiegł mój ojciec z pokoju z pałaszem w ręku, a spotkawszy kilkunastu napastników zaczął im wyrzucać ich napaś, mówiąc: „to mój syn, co wam zrobił, że go gonicie?“ Zatrzymali się, zaczęli przeproszać, a po mnie posłano ludzi, aby mnie wynaleść. Siedziałem cicho drżąc na każde stąpienie; gdy usłyszałem i poznałem głos hajduka mego ojca: „niech się panicz odezwie, już szlachty nie ma a jegomość niespokojny“; odezwałem się i ukazałem, lecz zejść z tak wysoka było niepodobnem po cegielkach które mularze przy murze zostawiać zwykli, a po których mnie trwoga przeniosła. Musiano drabinę przystawić; gdy stanąłem przed moim ojcem rzekł do mnie: „naucz się na sejmikach ani na moment nie chodzić bez szabli, nie poznano cię i wzięto za jakiego chłopca od rzemiosła“. Pomnę, że mój ojciec, ubierając się po polsku, szczególne miał upodobanie w czapkach i le dwie nie do każdej pary sukien inną miał co do kroju, koloru, a szczególnie co do baranków. Były niektóre kosztowne, przy których baranek dzie sięć do piętnastu dukatów kosztował. Zdarzało się, że nie jeden szlachcic sejmikowy przyszedłszy i spostrzegłszy czapkę brał ją na głowę i przymierzywszy odzywał się: „nieprawda panie sędzio, że było-

by mi pięknie w tej czapce“, potrzeba było odpowiedzieć na to: „niech ci służy panie bracie“ a już najmniej jeżeli czapka była droższa żeby ją wykupić, odpowiadano: „ta jest ciasna na twoją głowę, oto masz wygodniejszą i lepszą“. Lecz po doświadczeniu ostrożność doradzała nie kłaść czapki na doręczu. To samo nieraz działo się i z szablami. Nie sam dom mego ojca wystawiony był na to łupieżtwo, każdy z dostatniejszych obywateli, który chciał zjednać przychylność braci szlachty temi ofiarami się jej dokupywał.

Równie ze szkół tak zamojskich jak lubelskich, jak też z czteroletniego mego zostawania w palestrze przy Józefie Podchorodeńskim mecenasie, prawym, poczciwym obywatelu i najgorliwszym Polaku, wyniosłem na całe życie moje najmilsze wspomnienie ze zaznajomienia się mego z całą prawie młodzieżą polską, a połączenia się najściślej przyjaźnią z wielu. Tego rodzaju związki są najtrwalsze, bo się gruntują na szczerości, otwartości młodego wieku, na zobopólnem poznaniu skłonności i jej zarodów. Dzieci nie umieją się ukryć, nie znają obłudy, że tak pewiem w nagości moralnej przed sobą stają. W szkołach zamojskich poznałem Poetyłów, Rulikowskich, Jeżowskich, Rogowskich, Węglińskich, Santamanów, Kochowskich. W lubelskich zaznajomiłem się z młodzieżą wojewódzką, w Palestrze niemal z całą krajową, a szczególnie z Woroniczami, z Oraczewskimi, Brezami, Potoczekimi, z Sławuszeuskimi, z Hulewiczami, a mianowicie z Orchowskim i z Alojzym Felińskim; z tym szczególnie ostatnim jedna żywość charakteru, je-

dnakowa żądza oświecenia i nauki, jednakowy smak i skłonność do poezji, jeden wstręt do prawnictwa połączył nas najściślej przyjaźnią. Los tak chciał że oba mieliśmy mecenasów, których krytykować nie śmieliśmy, a których rozpraw od kratek nie zawsze mogliśmy zrozumieć. Feliński dependował od Antoniego Dmóchowskiego, który tak górnio i wysoko mówił, że sam siebie nie rozumiał. Podchoroński brzmiącym głosem ale tak łatwo, ale tak rozwlekle, bez porządku i często niezrozumiale rozprawiał, że z tej wikłaniny słów trudno było co dobrze pojąć, a tu trzeba było co tydzień ojcu na wieś posyłać diaryusz spraw toczących się, treść obron, wyroki i ich motywa. Rozumieliśmy dobrze, łatwo nam szło z Puchałą, Grabowskim, Grudzińskim, Kańskim. Z tej różnicy poznaliśmy że nie w naszych głowach była wina. Wkrótce podczas sejmku konstytucyjnego Alojzy Feliński wyjechał do Warszawy i umieścił się przy Tadeuszu Czackim, ten, spostrzegłszy w nim zdatność do literatury, dodał go za towarzysza Janowi Tarnowskiemu, siostrzeńcowi swemu. W Warszawie poznał się on z Trębeckim, z Niemcewiczem, Wolskim i zaczął pisać wiersze, tłómacząc je z francuskiego i małe ich próbki na świat wypuszczał. Te, które do mnie dobiegły, już nosiły cechę wielkiej łatwości w wierszowaniu i wykształconego na wzorach francuskich smaku! Feliński albowiem jako uczeń szkół wołyńskich słabo posiadał język łaciński, dlatego zaraz pisma jego przez niejaką rozwlekłość odbijały od utworów Naruszewiczów, Woroniczów, Trębeckich a nawet Krasickiego. Nie miały ich ścisłości i jędr-

ności, chociaż miały więcej gładkości i czystego smaku; zgoła znać było po nich ucznia Rasyna i Delila ulubionych jego mistrzów. Nie ujrzałem go już aż podczas powstania Kościuszki przejeżdżającego z obozu Naczelnika przez Lublin na Wołyń do Dziebuszyckiego. Powitaliśmy się z gorącą przyjaźnią, dał mi z rąk swoich swoje wiersze do Kościuszki; które się znajdują drukowane w jego dziełach. Nie mógł się dostać na Wołyń, bawił czas jakiś w Galicyi dla utrzymania poleconych sobie związków z Wołyniem. Przetrwał czas powstania w Dziko-  
wie u rodziny Jana Tarnowskiego wspólnie z Michałem Wyszowskim i Konstantym Tymienieckim, z którymi go przyjaźń i równy smak w literaturze i poezyi łączyły i przeniósł się potem do ojczystej wioski na Wołyń, gdzie uprzykrzone gospodarstwo słodził sobie tłómaczeniem poematu Delila Wieśniak. Wołyń wtedy bardzo był ubogi w literackie talenta. Bawiono się, hulano, tańcowano, ale jeszcze nie uczono. Czacki przebywał w Warszawie dla komisyi likwidującej długi króla. O zakładzie naukowym w Krzemieńcu jeszcze nie myślano. Wilno nawet jeszcze martwe było. Generał Krupiński nie mieszkał jeszcze w Woronczynie. Paweł I panował. W Warszawie pod rządem pruskim za staraniem Krasieckiego arcybiskupa gnieźnieńskiego zawiązało się Towarzystwo przyjaciół nauk, zaczęła się literatura polska ocucać; Dmóchowski zaczął wydawać dziennik, Osieński dla teatru i dla tego dziennika tłómaczył i pisał. Między rozmaitemi ułamkami poezyi, ukazały się ustępy z wyborczego tłómaczenia Wieśniaka Delila, który podówczas trzymał berło poe-

zyi francuskiej i miał wielką wziętość w Polsce, osobliwie w Puławach, które wysławiał, a z których opinia i smak rozechodziły się po całej Polsce. Wtenczas Feliński w ciągłej będący korespondencji z Wyszowskim, przebiegł przez Lublin do Warszawy, tam wezwany został na honorowego członka Towarzystwa. Czytał na publicznem posiedzeniu wyjątki z Wieśniaka i przemówił w Towarzystwie. Powracającego uchwyciłem w Lublinie, zawsze jeden i czuły przyjaciel, uszczęśliwiony wyborem, zwierzył mi się ze swoich przedsięwziętych dalszych prac w literaturze narodowej. Będąc r. 1802 na Wołyniu życzyłem sobie widzieć się z nim, zwłaszcza że się znajdowałem w sąsiedztwie szwagra jego Potockiego, gdzie poznałem jego siostry i od których dowiedziałem się, że mnie z czułą przyjaźnią wspomina. Nie przyszło do tego i nie ujrzałem go aż w r. 1814 w Warszawie. Przywiózł on z sobą dwie tragedye, jedną oryginalną a raczej w wielu scenach skomplikowaną „Barbarę Radziwiłłówną“, drugą tłumaczoną z Alfiergo „Virginie“, stał u Jana Tarnowskiego swego przyjaciela, a ten wezwał mnie jako wspólnego przyjaciela obojdwóch, Osińskiego i Wyszowskiego na wieczór, na którym miała być czytana przez autora ta oryginalna tragedia, o której piękności już nas Tarnowski uprzedził. Feliński pięknie pisał, niedobrze czytał, mimo to wprawdzie w tej sztuce piękności tak oryginalne jak naśladowane z klasyków francuskich, równie co do sytuacji jak co do myśli w dialogach, zyskały powszechną pochwałę, która zamieniła się w prawdziwy dla sztuki entuzjazm, gdy ją

minister Mostowski wobec zgromadzonego towarzystwa pierwszych obojej płci osób z dobitniejszym uczuciem i z oznaczeniem celniejszych miejsc przeczytał. Feliński osiągnął wtedy palmę narodowej tragedyi i na teatrze i w towarzystwach i w całej Polsce.—Przedstawiana Barbara na scenie warszawskiej przyjmowana była zawsze z uniesieniem i publiczności i miłośników literatury, i znawców jej najcelniejszych; wszędzie głośzono chwałę i autora i dzieła, bo jeszcze wtenczas podła zazdrość nie zraziła starszych, zarozumiałość sądu nie skaziła młodszych. Żaki ledwie ze szkół wybiegłe nie odważali się jeszcze bazgrać i wyrokować. Pasma literatury i sztuki pisania z wątką zasnutego przez Kochanowskich, Górnickich, Skargów, przędzone na tym samym warsztacie przez Naruszewiczów, Trembeckich, Karpińskich, Krasickich, Niemcewiczów, Dmóchowskich, przez nowych pod ich strażą kształcących się uczniów przeciągnięone, zdobyło się i przytykało coraz nowemi nitkami i barwami, doskonalcąc równie język jak sztukę. Jeszcze tej ozdobnej taśmy nie przecięto i na zgrzebnem, obrukanem i grubem tle nie zaczęto snuć i tkać potworów, nie odrzucono jedwabiu i złota, nie zwijano w cewki do tej tkaniny sierci i pilśni bydlęcej. Jeszcze nie wyszły były owe liczne, mierne lub potworne, a tak podziwiane utwory. Jeszcze geniusz złego, pycha, zarozumiałość spoczywały w kołysce; jeszcze młodzież ową sławną Odą do Młodości uzuchwaloną nie była do targnięcia się na wszelką władzę, powagę, sławę literacką czy inną, do pogardzania przeszłością, do pomiatania chwałą Sniadeckich i za-

slugami literackimi Warszawy. Wtedy Feliński otoczony powszechnym szacunkiem i uwielbiony z talentu wybrany został przez księcia Adama Czartoryskiego na profesora literatury narodowej w Krzemieńcu. Mieliliśmy trudność skłonić go do przyjęcia. Nieufność w sobie, nieśmiałość mu wrodzona, przemożła miłość dobra publicznego i zachęty przyjaciół znających i ceniących jego zdolności, gdyż wtenczas wszystkich ludzi oświeconych łączył jeden węzeł jedności pod godłem: „służmy poczeiwej sławie”.

Wywiązał się z tego nowego dla siebie obowiązku Feliński, zdolnością, pracą, gorliwością. W krótkim przeciągu czasu zyskał zadowolenie przełożonych, miłość uczniów i entuzjazm całej powszechności. Niestety! wśród tego zawodu nagłą śmiercią wyrwany został naukom, krajowi, współziomkom, przyjaciółom. Żal po jego stracie nie był mniejszy od szacunku, na który zasłużył za życia. Drzewiecki, wtedy marszałek krzemienieckiego powiatu, wiedząc jaka przyjaźń i jednakowe literackie wyobrażenia łączyły mnie z Felińskim, przysłał mi jako pamiątkę po straconym przyjacielu i pisarzu jedno z piór, któremi swoje umysłowe plody kreślił, ledwie co oschłe z atramentu, a które młodzież, uwielbiająca swego mistrza, rozrywała jako najdroższe dla siebie upominki. Kiedy teraz czytam, co ci sami uczni Czackiego, uczni Felińskiego, księdzia Osińskiego, piszą o swoich mistrzach, i co płodzą w literaturze, jak umysłem, piórem, wyobrażeniami, odstrychnąwszy się od drogi, na którą ich tamci wprowadzili, uwłaczają ich pamięci, gdy wi-

dzę, jak, rzuciwszy się w najlichszy rodzaj literatury, tworzą drobne obyczajowe powiastki, dramaty, ledwie nie w karczmach czerpane, gdy słyszę to bluźnierstwo literackie, tę schizmę zdrowego pojęcia, że wkrótce nauka historyi stanie się i stać się powinna niepotrzebną, że ją godniej powieść zastąpi, cóż mam myśleć o przyszłości przy takich nauczycielach, przy takich autorach. Boleję nad obrażeniami cieniami Czackiego, Kołłątaja, Felińskiego, Śniadeckiego, lecz jeszcze więcej boleję nad biedną literaturą narodową.

Jeżeli miłe zostawiły mi na starość wspomnienia, związki z powyżej wzmiankowanymi osobami, jeżeli przyjemnie mi było spotykać się z niemi na drodze publicznego zawodu, dotąd tkwi jeszcze w pamięci mojej wstręt i przykrość z zapoznania się w palestrze z młodym człowiekiem, jak ja dependentem u jednego mecenasa, pod jednym ze mną dachem mieszkającego, do jednego stołu siadającego, a przez związek przyjaźni ojca mego z jego ojcem, pisarzem ziemskim sandomierskim, zbliżonego do mnie, i z pewnym rodzajem udanej czy szczerzy ku mnie skłonności, starającego mi się przypodobać. Tym młodym człowiekiem był Kazimierz Młoddecki, protegowany przez kanclerza Małachowskiego i jego interesami trudniący się, skąpego niezmiernie lecz bogatego ojca syn, przystojny, wytwornie się ubierający, otwartej głowy, lubiący literaturę polską, co mnie do niego przyciągało. Prosił on mnie, abym go przedstawił ojcu memu. Ojciec mój upoważnił mnie przywozić go na święta do domu swego. Umiał się on tak dobrze przəs-

dać, że samego ojca mego przychylność pozyskał; gdy następujący wypadek otworzył mi oczy i odkrył jego zły, zapalczywy charakter, który potem stał się źródłem okropnej zbrodni, o którą posądzonym zostałem i pod której zarzutem nieoczyszczony umarłem.

Jednego dnia spostrzegłem po Młodeckim pomięszanie i narady z niejakim Kowalskim, przyjacielem i współkolegą w palestrze. W kilka dni usłyszałem przez drzwi hałas i żywą rozprawę między obydwojma; gdy ta rozprawa coraz głośniejszym krzykiem zaczęła przybierać postać kłótni, wszedłem, zastałem obydwojch zajadzonych na siebie i trafiłem na ostatnie słowa Kowalskiego: „uwolnilem cię łajdaku od kajdan”. Na te słowa Młodecki, jak trzymał cybuch w ręku, uderzył nim dwa razy w głowę Kowalskiego, nim go zasłonił i obrońcę zdołałem. Kowalski, mocniejszy, porwał się do niego, lecz ja, wołając: „co robicie! wstyd, wstyd!” potrafiłem wyprowadzić Kowalskiego do mojej stancyi i uspokoić. Kowalski, wysapawszy się z gniewu rzekł: „jakże ja teraz wyjdę na miasto ze znakiem tak widocznie nabrzęklým na twarzy”. „Nie darujesz zapewne twojej krzywdy, bo się bić będziecie, więc to wszystko wyjdzie na jaw”. „Bić się z takim łajdakiem byłoby hańbą, jego do więzienia wtrącić potrzeba, dowiesz się później o wszystkim” i, obwiązawszy twarz chustką, wrócił do siebie. Nie wychodził dni kilka, póki znaki od zadanych razów nie znikły. Gdy odszedł z mego pokoju, wszedł Młodecki pomięszany, lecz drżący od gniewu, zaczął się usprawiedliwiać z zapędu i gro-

zić za wyrzeczone przez Kowalskiego obelgi zemsta: „więc go wyzwiesz, prawdę mówiąc, on ciebie powinien wyzwąć”—rzekłem; „wyzwać go nie będę, bo by to hałasu narobiło i zmartwiło mego ojca, lecz mu kijami poprawię”. Spostrzegłem, że ci oba przeciwnicy nie mieli ochoty rozprawić się bronią. Żałowałem Kowalskiego, zacząłem gardzić Młodeckim i unikać z nim towarzystwa. We trzy dni wszedł do mnie Kowalski już z wypogodzoną twarzą i rzekł do mnie: „miałem cię dawno ostrzedz, unikaj tego łajdaka, to najniebezpieczniejszy człowiek, wszystko w nim fałszywe i udane, zwodzi, oszukuje, liże się, a nie pohamowany w swoich bezecnych skłonnościach, widziałeś jak mi się wypłacił za to, żem go od ostatniej hańby osłonił. Odkryję ci więc jego bezecny występki. Małachowski kanclerz, przez przyjaźń dla ojca, wziął go w swoją protekcję i powierzył mu w trybunale interesu, których żadnych nie ma, wyznaczywszy mu małą kapitulację. Ojciec, choć bogaty, ale niezmiernie skąpy, mało do niej dokładał na utrzymywanie się przyzwoite, a paniczowi zachciało się być elegantem, stroić się, niczego sobie nie żałować. Sfałszował więc skrypt dla siebie, niby od Małachowskiego kanclerza na kilkaset czerwonych złotych, i zastawił u jednego z kupców. Gdy na terminie nie zapłacił i zwłóczył, kupiec udał się do kanclerza. Kanclerz zadziwiony wysłał zaraz zaufanego człowieka dla wykrycia fałszerza. Wysłaniec, gdy się objawił Młodeckiemu z pewnym rodzajem podejrzenia, Młodecki przybiegł do mnie, abym go ratował. Swemi i pożyczonemi pieniędzmi wykupiłem

trzystu dukatami skrypt, tak, że gdy Młodecki z owym wysłańcem przyszedł do kupca, ten już zakłęty odemnie odpowiedział, że skrypt już dawno zapłacony a wykupującego nie zna. Zaniesiono więc tylko manifest do akt w imieniu kanclerza i tak Młodecki wybrnął z ohydneho kłopotu. Przyszędlem upominać się o mój dług, bo mnie wierzy-ciele, jako poręczyciela, naciskali; zawsze zwłóczył, a tą razą wpadł w złość i gdy mu gorzkie wyrzuty i przestrogi przymuszony byłem zrobić, byleś świadkiem gwałtu, jakiego się na osobie mojej dopuścił. Ostrzegam cię, zerwij z nim, aby cię w co ohydneho nie wprowadził." Posłuchałem rady; po limicie trybunału oba antagoniści wyjechali i więcej o nich nie słyszałem.

Następnego trybunału, na którym się już nie pokazali, głośna wieść rozbiegła się, że Pisarz ziemski sandomirski Młodecki w folwarku swoim Miłocicach w czasie żniw, położywszy się spać w spichlerzu przez swego pisarza prowentowego, szlachcica siekierą zamordowany został, że zabójca ujechał na najlepszym koniu dworskim, lecz w zgryzocie sumienia, tułając się po wioskach, wrócił do Miłocic, i, oddając synowi Kazimierzowi przy świadkach werek z pieniędzmi, rzekł: „namówiłeś mnie pan, abym ojca pańskiego zabił, odbierz sobie nagrodę, kiedyś i ojcu i mnie życie wydał". I sam się w tym sposobie oskarżył przed sądem. Sąd powołał syna, lecz ten się wypierał; po krótkich inkwizycjach zabójca został skazany na śmierć od miecza. Już na rusztowaniu zapytany czyli nie odwoła oskarżenia, potwierdził je głośnie i wyraźnie, mimo wszelkich

uwag kapłana. Syna więc nie uwolniono od zarzutu, lecz mu się oczyścić z niego nakazano. Odpowiadał więc z wolnej stopy według kardynalnego prawa polskiego: „*Neminem captivabimus, nisi jure victum*”. Dowodów wyraźnych przeciw niemu nie było, lecz poszlaki mocne w powołaniu przez zabójcę, w worku oddanym z pieniędzmi. Przecież Młodecki, stawszy się panem fortuny po ojcu, potrafił sparaliżować pośpiech sprawiedliwości. Tymczasem nastąpiły zaburzenia w kraju, przez konfederacyą targowicką wzniecone. Sprawa ciągnąca się doczekała się sejmu grodzieńskiego, na którym zabijano ojczyznę, do czego przewodzili Miączyński, marszałek i poseł lubelski, i Podchorski, poseł wołyński, gracze i hultaje przekupni. Do nich się więc udał z pieniędzmi Młodecki. Miączyński, pod pozorem obrony niewinnego, prześladowanego niesłusznem posądzeniem, uczynił wniosek za nim i otrzymał sancitum sejmu, którem Młodecki od wszelkich zarzutów uwolniony, za niewinnego i nieposzlakowanej czci człowieka ogłoszony został; ażeby zaś zatrzeć wszelki ślad zarzutu, akta całego procesu spalić, skargę z akt wyrzeć nakazano. Sancitum to wykonane zostało na aktach, lecz umysłem wstrętem przejętym na ten zarzut i opinii publicznej dodało mocniejszego przekonania i dowodu, bo niewinność woła o głośne usprawiedliwienie i szuka go, zbrodnia ślady swoje niszczy, aby odkrytą nie została. A przytem jaka to władza uwolniła od zarzutu? Władza najnieprawniejsza, władza zabójczyni ojczyzny uniewinniła zabójcę ojca. Samo poszukiwanie uniewinnienia u takiej władzy już

potępiało posądzonego o zbrodnię, dlatego też nigdy opinia współziomków przejednaną mu być nie mogła, i chociaż Młodecki znakomitych zdolności i zręczności człowiek, to pismami politycznymi, to innymi środkami starał się być użytym do urzędowania, zawsze ze wstrętem odpychany, majątek stracił, rozpił się i w nieczynności umarł. Kiedy sobie przypomnę „Nową Polskę”, dziennik rewolucyjny I. B. Ostrowskiego i artykuł w nim pod tytułem „Ojacobójstwo prawne”, gdy czytałem w dziennikach francuzkich kolumny, wypełnione sprawozdaniem tego rodzaju zbrodni, jak nie jęknąć z Tacytem: *et quae antea crimina fuerunt, mores sunt.*

Najszcześliwszym był czas w Polsce tak w stolicy jak na prowincjach między r. 1780 a 1792 to jest od wyjścia wojsk rosyjskich z Polski po konfederacyi barskiej, aż do wkroczenia ich wraz z konfederacją targowicką. Można powiedzieć, że to było prawdziwe uiszczenie owego tak zwanego złotego wieku za dwóch Augustów, a które ciemnota i rozpusta odmalowała przysłowiem: „za króla Sasa“ jedz, pij i popuszczaj pasa.“ Tak też było w istocie. Pieniano się, sejmikowano, bawiono, hulano, jedzono, wyprawiano uczty, wesela, imieniny, kuli-gi. Chociaż intraty były małe, bo albo nie gospodarowano, albo źle gospodarowano i przenica w Gdańsku mało popłacała, oszczędność i skromność potrzeb, nieznamość zbytków nawet wygody życia, przestawanie na gościnnej szczeroci w miejscu wystawności, ułatwiały te zgromadzenia, te uczty, na których nie chodziło o jakość pokarmów i napojów, lecz o ilość. Jedzono wiele, wypijano jeszcze

więcej wina węgierskiego i angielskiego piwa, które było tanie. Nie jadano w szlacheckich domach na fajansie lecz na cynie, łyżki nawet były z tego metalu. Na łyżki srebrne ledwie zdobyć się potrafił kilkowioskowy obywatel, a srebra stołowe, wazy, półmiski wyjawiały się tylko w domach pańskich, w pałacach, i to starożytną robotą, jako puścizny lub nabycia po bogatych i możnych pradziadach. Meble były proste, zydle, stoliki drewniane, rzadka kanapa. Obicia włóczkowe lub żadne. W majątniejszych domach sprzęty były z Gdańska sprowadzane, krzesła, kanapy, stoliki. Makaty tureckie okrywały ściany, na których zawieszone były portrety przodków. Adamaszek, aksamity lub gobeliny należały do pałaców. W dworach szlacheckich posługa była z własnej wsi przebrana w żupany, w ferezie barwiste. Kucharz musiał być choćby u jednowioskowego szlacheica i choćby z brodą i z wąsami. Wesolość i chęć zabaw była powszechną. O polityce nie myślano chyba w Warszawie, ztąd gdy zapusty nadeszły cała ludność szlachecka na prowincyi ruszała się z swoich siedzib, najeżdżając się wzajemnie kolejno kuligami. Wiadomo wszystkim że kuligi były naśladowaniem, a raczej przedrzyźnianiem wesela chłopskiego. Pełno po domach szlacheckich było młodzieży obojej płci, córek, synów, rezydentek, co niezmiernie ułatwiała liczne grono. W lubelskiem było kilka domów między szlachtą mniej więcej zamożną, które nie oddychały tylko tego rodzaju zabawami, i życie w nich było ciąglem ich pasmem. Szczególniej jeden dom w Bełżycach wstąpił się niemi. Był to dom pod tym

względem oryginalny, osobliwszy, a że wątpię, aby na ziemi polskiej był który mu podobny, dam jego opisanie jako charakterystykę czasów i ludzi.

W Bychawie, małym miasteczku, w zamku murowanym, u możniejszej rodziny obywatelskiej Stoińskich, chowała się na opiece młoda jedynaczka, Ewa Gałęzowska kasztelanka gostyńska, bogata dziedziczka dwóch kluczów w lubelskiem, Bełżyc i Głuska i trzeciego w sieradzkim, Łaniąt, po ojcu kasztelanie gostyńskim, a prócz tego mająca znaczny posąg po matce na Bychawie. Delikatnej kompleksyi, nieładna, rudych włosów, małego wzrostu, twarzy ospą poznaczonej; wypieszczona najgorszem wychowaniem przez ciotki i wujów, tak, że ledwie podpisać się umiała. Od kołyski przyuczona mieć swą wolę, a napatrzywszy się na hulaszcze i nierządne życie wujów, nawykła i tęskniła do niego. Bogata i głośna z bogactwa, ścierała do domu, w którym przebywała licznych konkurentów, już od dziecinnego jej wieku zamawiających jej rękę u opiekunów. Ubiegł wszystkich Stanisław Kosowski, starosta sieradzki, majątny, lecz nie bogaty wielkopolanin, syn podskarbiego nadwornego, a brat rodzony Rocha Kossowskiego, w czasach późniejszych podskarbiego wielkiego koronnego. Ten, ujawszy sobie familię Stoińskich, a wystawą życia, ekwi-pażami, liberyą, mundurem rotmistrzowskim i orderem olśniewszy młodą idiotkę, w sekrecie wyrobiwszy duchowną dyspensę od zapowiedzi, z zegarkiem w rękę, w minutę, w której panna czternaście lat kończyła wziął z nią ślub. Otóż pani starościna sieradzka, która ledwie podpisać się umie, a mał-

żeństwo uważa, jako przywilej swobody i dogadzania we wszystkim swej woli i fantazyi, zaczyna według nich rządzić sobą, domem i mężem. Starosta sieradzki, człowiek prawy, poczciwy, wychowany na wielkim świecie, acz bardzo ograniczonych zdolności, Polak równie z duszy, jak z szaty, nie mogąc poddać samowolnej jejmości, poddał się jej zupełnie i puścił samopas młodą małżonkę. Sam też, jako wielkopolanin, lubił wystawę i nawykł do niej. Dwór więc pana starosty był liczny, wystawny i na możnowładnej stopie. Doktor, marszałek, sekretarz, koniuszy, łowczy, kuchmistrz, kapelmajster i liczna z dwudziestu czterech muzykantów złożona kapela, składały asystencyę pana starosty i pani starościny; liczny fraucymer, panien i garderobianek; a panien respektowych, córek obywatelskich, krewnych pani starościny, rezydentów młodych i starych co nie miara. Starosta, będąc komisarzem skarbowym, część jakąś roku mieszkał w Warszawie. Ztamtąd przysyłał żonie najmodniejsze stroje, suknie, pojazdy. Raz jej sprowadził karetę poczwórną angielską, która w żadną bramę, ani w karczmach, ani w wozowniach dla wysokości zmieścić się nie mogła. Używała więc pani dostatków i zabaw, i w przytomności i w nieobecności męża podług swojej woli, i wkrótce taki wpływ wywarła nie tylko na męża, na sąsiadów, ale nawet na obszernej okolicy, że wszystko i wszyscy na jej zawołanie stawali. W jesieni polowała w sukni amazońskiej na grubego zwierza, gdyż starosta wielkie i sławne myślistwo trzymał, lecz, że ją raz niedźwiedź tak nastraszył, że zemdląła, porzuciła myślistwo, za

to namiętnie do tańca latem i zimą się rzuciła. Nastąpiły bale, uczty, kuligi i wszelkiego rodzaju zabawy. Starostwo zamierzali mieszkać w Abramowicach pod Lublinem i tam wzniesli dom drewniany, wielki, wystawny, lecz bądź bliskość Lublina ich zraziła, bądź mniej wygodna okolica, przenieśli się Bełżyc, miasteczka dość ładnego, najwięcej zamieszkałego przez żydów i katolickich rzemieślników, położonego na trakcie kaźmirskim, mającego pocztę, kościół katolicki i zbór luterski z probostwem. Tam zastali dawny dom zgorzały, a późniejszy murowany wielki, lecz bez piętra, mający pięć pokoi ubocznych, ale salę tak obszerną, że po niej można było sześciokonną karetą wywijać; ten dom otaczał i dotąd otacza ogród ze staroświeckim szpalerem, włoskim go nazywano. Lipy są w nim tak wzniosłe i stare, jakie tylko w ogrodach przez Jana III sadzonych widzieć można. Otoczono więc ten dom oficynami obszernymi, lecz z drzewa budowanymi, w jednych mieścili się sami starostwo, w drugich kuchni i oficyaliści. Główny zaś dom był poświęcony jedynie na bale i uczty, i stał się prawdziwie oberżą obywatelską, gdyż nigdy od huku, kapeli i wrzawy, którą się ciągle napelniał wolny nie był. W 1870 r. w miasteczku Bełżycach cały rynek zgorzał, ale przemysłni żydzi, zakosztowawszy obfitego zarobku z tych częstych zjazdów i uczt, w jednym prawie roku zabudowali go obszernymi karczmami, stajniami i gościnnymi pokojami, a i katolicy mieszkańcy powystawiali dworki z podobnymi wygodami. Jakoż tyle bywało uczt i balów z powodu przypadających z kalendarza lub wymyślonych imie-

nin, dwojakich, trojakich, nietylko samych starostwa, ale ich wszystkich krewnych i przyjaciół, nadto z powodu urodzin, chrzcin, zaręczyn, zaślubin tyle zjeżdżających się gości, nietylko z Lublina, z Warszawy, lecz w Wielkiejpolski i z innych polskich prowincyi; nietylko trybunały reasumujące się po świętach wielkanocnych, a limitujące się przed świętami Bożego Narodzenia, przejazdem świętowały i na Zielone Świątki świątkowały, lecz ktokolwiek-bądź przejeżdżał przez to miasto mógł być pewnym, że tym potokiem będzie zachwycony; a zachwyconym zostawszy, wiedział, że choćby miał najpilniejsze interesa, zmuszonym będzie uciążliwą gościnnością gospodarstwa kilka lub kilkanaście dni temu roztargnionemu codziennemi zabawami życia poświęcić. Były już bowiem w mieście umówione i rozstawione faktory z żydów, którzy i dla własnego zarobku i dla przypodobania się państwu, ujrawszy cokolwiek porządniejszym pojazdem przejeżdżających, jedni chwyтали za konie i zatrzymywali, drudzy biegli do dworu dawać znać, a wtem nadbiegali oficjaliści dworsey lub rezydenci, i gwałtem zajmowali, wiedli i prowadzili do pałacu najmniej na kilkunastodniowe, a czasem i na kilkutygodniowe zamieszkanie. Ztąd nieraz dało mi się widzieć, pomiędzy wesołemi twarzami zasmucone, słyszeć błagania, prośby o wypuszczenie, przysięgi powrotu i dłuższego zabawienia, wystawianie naglących interesów; na co sam starosta zstępował do wyrozumienia, i wnosił za uwięzionymi instancję do samej pani; lecz ta nieprzeblagana, jak druga Cyrce trzymała swoich więźniów, i przemieniała ich

w tancerzów i posługaczów do wszystkich swoich i bachusowych uciech. Szczęśliwy, kto znalazłszy u sług wyrozumienie, z ich pomocą cichaczem wyrwał się z tego zaczarowanego miejsca. Były familie wielkopolskie i krakowskie, spokrewnione z samym starostą, jak Walewskich, które prawie mieszkały w Bełżycach. Wojewoda sieradzki, Walewski, z piękną swoją córką, najprzód Stecką, a potem Jabłonowską, przejazdem na Wołyń, lub w podróży do Lublina, gdzie sprawę miał z Lubomirskimi, przesiadywał w Bełżycach. Podówczas cała prawie Polska mieszkała w Lublinie dla interesów prawnych i zabaw w tem mieście przy trybunałach. Warszawa wyludniała się dla Lublina, w czem Bełżyce wielki miały udział. Na świetniejszych ucztach Bełżyce wystawiały prawdziwe panorama całej Polski i ówczesnych towarzystw prostych, świetnych, wykształconych, szlacheckich. Kontusze, golone głowy i twarze wąsate mieszały się z frakami, upudrowanemi fryzjurami i z całą elegancją warszawską. Mundury wojewódzkie z wojskowemi szlifami, z barwami narodowemi, z sutannami i frakami czarnemi duchownych, z kapturami i habitami zakonników, prowincyałów i defnitorów, składających powinnowania gospodarstwu, jako syndykom swoich klasztorów. W gronie płci pięknej naturalnie sędziwa księżna kasztelanowa krakowska Lubomirska z domu Krasińska, poważna matrona odbijała swoją godnością od trzpiotackiej miny gospodyni i nie raz miała uśmiech politowania na ustach. Wojewodzina mazowiecka, Małachowska, z domu Działyńska, Łącka kasztelanowa sandomirska, przyciągały

do siebie poważniejsze obywatelki. Podskarbina koronna Kossowka, Bielińska z domu, sławna warszawska piękność, i najpierwsza elegantka, bratowa pani starościny, którą krewieństwo i odgłos zabaw bełżyckich sprowadzały na kilka niedziel; księżna Aleksadrowa Lubomirska świeżo zamężna i niezmiernie pusta, pięknocią, wykształceniem odbijały od wystrojonych elegantek prowincjonalnych, lecz z szczerocią młodości udzielały się zabawom, a szczególniej tańcom, do których nie brakło na wybornych tanemistrzach, jakim był Ignacy Hryniewiecki wojewodzie lubelski, Walewscy wojewodzice i Adam później brygadyer, Szydłowscy wojewodzice płoccy z Ratoszyna i mnóstwo elegantów warszawskich, przybyłych w ślady młodych i pięknych pań ze stolicy. Przyznać potrzeba, że nie sama żądza zabaw sprowadzała mnóstwo gości do Bełżyc. Jak teraz matki, mające córki na wydaniu jadą do miasta, aby je pokazać światu i znaleźć im mężów, tak podówczas nietylko do Warszawy i Lublina, lecz i do Bełżyc na ten prawdziwy targ pięknych panien i nadobnej młodzieży śpieszyli rodzice. Wśród tych albowiem zabaw robiły się wzajemne poznania, objawiały się wzajemne skłonności, tworzyły się związki, które bystrem okiem śledziła i podchwytowała pani starościna, pomagała im i ułatwiała w postaci generalnej województwa lubelskiego swachy. Szczęśliwą była i pyszniła się, gdy się jej skojarzenie jakiego małżeństwa udało, a to z dwojakiego względu. Raz, że lubiła oddawać przysługi przyjaciołom i przyjaciółkom, do czego przywiązywała całą swoją słynność, powtóre, że jej to

otwierało upragnioną sposobność nowych zabaw na zaręczyny, przenosiny, od których trudno się było wyprosić.

W szanownej staroście takiej była żądza do tańców, że ledwie się obiad skończył, obfity w pokarmy, niezbytkowy w wino, gdyż sam starosta był ludzki, lecz skromnie używał trunków, ledwie z wielkiej sali sprzątnąć zdołano stoły i sprzęty, już muzyka, z 24 muzykantów złożona, zaczynała grać polskie tańce. Starościna, której już nogi drżały, mru-gała na męża, ten nieraz, ruszywszy ramionami, rozpoczynał taniec z najpoważniejszą damą i uwolniwszy się od niego wracał do sędziwych matron, do znakomitszych obywateli, albo do marysza zasiadał, albo rozmawiał o gospodarstwie i polowaniu, czasem, lecz rzadko o dawniejszych czasach, lub o wypadkach krajowych. Wtedy albowiem, jako jeszcze w epoce przedsejmowej 1788 r., nowa generacya, przez Stanisława Augusta wychowana, ledwie co zaczęła wchodzić w znaczenie na sejmie 1786 r. O polityce i literaturze nawet po domach możniejszej szlachty nie rozmawiano; jeszcze puścizna po panowaniu dwóch Augustów wyczerpaną nie była, to jest, jakaś niepojęta obojętność czy zaślepienie na losy kraju. Jedną tylko gazetą Łuskiny, gdzie niegdzie uwijała się, a chociaż od samego początku panowania Stanisława Augusta wychodziły w Warszawie „Monitory”, chociaż Gröll drukował dzieła historyczne i poezye Naruszewicza, Krasińskiego Podstolego, Doświadczyńskiego, Satyry, Historję na dwie księgi podzieloną, Gramatykę Kopczyńskiego, wiersze Trembeckiego, Książnica, Kar-

pińskiego i tyle innych dzieł znakomitych i pożytecznych—prócz w Stryjnie, w Wronowie i Gościeradowie u szambelana Stryjeńskiego, Goltza i u Prażmowskiego, gdzie i zagraniczne gazety trzymano, w żadnym prawie szlacheckim domu nie można było dzieł narodowych ujrzeć, i można słusznie powtórzyć wiersz Naruszewicza:

Rzadko kto na ich kupno dłoń sięgnął do grosza,

Ta obojętność zapewne natchnęła temuż Naruszewiczowi satyrę „Chudy literat”. W jednych tylko Puławach, w Opolu i w Kurowie, zajmowano się polityką i literaturą. W Przybysławicach i w Lubartowie trudniono się sejmikami i wychylano kiełichy. Pomnę, iż w Opolu u księżny kasztelanowej krakowskiej, słuszny bardzo człowiek, dobry i prawy urzędnik, senator nawet, Hryniewiecki wojewoda lubelski, gdy w obecności mojej, ksiądz Kułagowski oświecony prałat i lektor księżny kasztelanowej czytał w gazecie o Dardanelach, zapytał się: mościa księżno, co to są Dardanele? Rozśmiała się księżna, a Kułagowski musiał mu żądane dać tłumaczenie. Taka to w starych Polakach została ignorancja pierwszych wiadomości naukowych, nieprzebaczona w senatorze.

Gdy w Bełżycach na powyżej wspomnianych rozmowach uchodził czas starszym matronom i obywatelom, młodsze towarzystwo tańczyło, hulało pod przewodnictwem starościny. Tamci rozchodzić się byli zwykli przed lub zaraz po północy. Ci przez noc całą płasali; a gdy dzień zająztał zasłanianio

okna okiennicami, matami, i ledwie w południe światło słoneczne wpuszczano. Gdy który z młodych tancerzy znużony fatygą i snem pokonany wykradł się do łóżka którego z oficyalistów, a pani starościna spostrzegła jego nieobecność, zaraz na jej rozkaz liberya lub współbiednicy wybijali drzwi do pokoju, w którym się ukrył, porywali wraz z łóżkiem rozebranego, wnosili na salę, gdzie przy hucznej muzyce lali go wodą lub trzepali różgą, z czego nieraz nieprzystojne sceny wynikały, a dla starościny uciecha. Dodać tu muszę, czemu się nie jeden zadziwi, że w domu tak zamożnym, tak obfitującym we wszystko, nie pomyślano nigdy o najistotniejszej wygodzie dla gości, koniecznej zwłaszcza w takim domu, gdzie się tak liczne towarzystwo zgromadzało, i gdzie tyle jeść i pić dawano. Ztąd wśród uczt jaki kłopot dla kobiet, jaka nieprzyjemność dla wszystkich łatwo sobie wystawić; zwłaszcza, że na dziedzińcu wałęsały się wielkie brytany, faworyty pani i pana, które samem szczerkaniem z ogromnej paszczy trwogą przerażały. Ławo domyśleć się jaką ten dom na drugi dzień balu przedstawiał postać, i ile mieli do czynienia stróże. Dodam tu, że ogromne brytany ugłaskane i wypieczone od ręki pani i pana często się i po pokojach wśród gości pokazywały, nie raz się spięły na starostę i polizwały go po twarzy; nie raz nie na jednego z nich łapie została urwana falbana z sukni pani starościny, nie raz nie jeden z tych faworytów, uderzywszy ogromną łapą we drzwi, roztrącił je na roziecz, wszedł podczas gdy zasiedli stół goście i wyprowadzić się nie dał. Widziałem jak się raz

spiąwszy na krzesło za siedzącym i przestraszonym gościem, wychylił przez jego ramię ogromną paszczę, czuwał okiem chciwem, a gdy ten kawałek mięsa na widelcu do ust prowadził, uprzedził, schwycił i połknął. Raz te psy, których było kilka, przestraszone jakimś futrem, uderzyły w okna od ogrodu i wszystkie wybiły tak, że tańce się przerwały póki szklarz z miasta szyb nie wprawił.

Gdy po nocnym balu młode towarzystwo w pałacu i po karczmach wysypiało się do godziny piątej wieczornej, starsze, które się już dobrze wyspało, raczyło się śniadaniem częstokroć z dobrą libacją po gospodach i dworakach, wiedząc albowiem, że, zjechawszy do Bełżyc, będą musieli od tłustego czwartku bachusować, aż do wstępnej niedzieli, przyjeżdżali do tego miasteczka z zapasami żywności i wina. Ztąd wzajemne dawanie sobie uczt małych, ztąd wizyty i zapraszania, przechodzenie się po miasteczku z kielichami, do czego dodawała ochoty i zapału kapela dworska. Gdy dano znać na obiad do dworu, a po obiedzie na nowo zaczęły się tańce, za wzorem panów, liberya zapragnęła także się bawić. Byłem świadkiem następującej sceny. Liberya po domach zajezdnych wdała się w tańce i w hulankę z młodemi mieszczankami i dziewczętami wiejskimi, te naturalnie wołały się wywijąć ze zręcznymi lokajami, przybranymi we fraki i trzewiki niż z niezgrabną czeladzią rzemieślniczą lub z parobkami, ztąd z zazdrość, zazdrości spory i kłótnie, z kłótni bójka, zgoła walka Sabinów z Rzymianami. Lokaje, uczuwszy się słabszymi przeciwko tłumowi uzbrojonemu w pałki i kosztury, zapalili pochodnie

i niemi się bronili. Każde uderzenie nietylko parzyło przeciwników, lecz że najwięcej uderzano w głowy, na tych niewyczesane kudły palić się zaczęły. Chłopi i mieszczanie ratowali się ucieczką, wtedy liberya, uszykowawszy się w szereg, przepuszczała uchodzących przez ogniste razy;—całe miasteczko stanęło w ogniu. Przestraszeni żydzi wpadli do dworu z krzykiem i wśród najzapaleńszych tańców przerazili trwogą; całe towarzystwo wybiegło na dziedziniec; łuna i dymy okrywały miasteczko. Przez nie długą groblę, oddzielającą od zabudowań dworskich, liberya, kapela, sami panowie, officialiści wszyscy na koniach rzucili się do ratunku. Każdemu chodziło o jego pojazdy, konie i sprzęty, szczęściem, że to nie był pożar, lecz tylko łuna od pochodni. Miasteczko cudem ocalało, a zwaśnione strony ledwie rozpędzić i uspokoić zdołano. I rannych i poparzonych przeciwników oddano pod dozór cyrulików i zamykano. Skończyło się na kilku rannych, między którymi był hajduk mego ojca, któremu skaleczono głowę, gdy biegł swoim na pomoc. Szczęściem i to było, że każdy z panów z przypasaną szablą do boku zwykł się był udawać do dworu, inaczej przyszłoby było do rozlewu krwi.

Podobna acz z innego powodu okropna stała się scena za mego dzieciństwa w Ożarowie nad Wisłą, gdzie oficer polski wysłany z dwunastoma ludźmi na wolny werbunek upoił i namówił syna czy parobka gospodarskiego do wojska. Pospólstwo zgromadzone na targ upominało się o niego, nakoniec gwałtem odbić przedsięwzięło. Oficer młody i nierozważny

oświadczył, że strzelać każe i zatarasował się w karczmie, gdy pospólstwo oknami cisnąć się zaczęło, rozkazał dać ognia i kilku raniono. Na widok krwi rozjuszony gmin przez dach przez okna wdiera się do izby. Żołnierze strzelają, już ładunków nie staje, guzikami oderwanymi od mundurów nabijają, pada trupem kilku włościan, kilkunastu ranionych, lecz mimo bagnatów oficer i wszyscy żołnierze zabici; spełniło się przysłowie „*ubi multi peccant, nemo punitur*”.

Starościna między obywatelkami miała swoje przyjaciółki; matka moja młoda, osieracając nas ledwie lat trzydzieści trzy liczyła, była z tej liczby, zwłaszcza, że rodzice moi, póki mieszkali w Ponia-  
towie, byli bliskimi sąsiadami Bełzyc. Ztąd potrzeba było każdą ucztę w Bełzycach dzielić i na imieniny przyjmować staroścień, gdyż rodzice moi mieli ku temu dom świeżo wystawiony, obszerny i jak na ów czas ozdobny. Starościna prócz tego trzymała brata młodszego do chrztu Józefa, który potem był biskupem kaliskim. Miała ona jeszcze kilka innych domów ulubionych szczególnie tych, gdzie się znajdowały młode i ładne córki lub dorodni kawalerowie. Domy Gałęzowskich, Trzeińskich, Głuskich, służyły urodziewi pannami. Dom Raszewskich obywatela i dawnego rotmistrza kawalerji narodowej, miał kilku synów, wszystkich prawie wojskowych, dorodnych, dobrych do konia, tańca i kieliszka. Albo więc starościna zabierała młodzież z tych domów, albo też te domy najeżdżała w każdej porze roku z kapelą i z swoim towarzystwem na imieniny i urodziny, a w zapusty kuligi

do nich wyprawiała. Do tych ostatnich dla powiększenia liczby używała panien, wychowujących się w klasztorach, szczególnie u panien bernardynek, od czego ksieni tego klasztoru, Głuska, krewna pani starościny wymówić się nie mogła. W tym klasztorze chowała się piękna panna Tekla Kraińska, niemającego obywatela córka, wesoła, śmiała, powszechnie podobająca się młodzieży. Bez niej nie mógł się obejść żaden kulig, gdyż zwykle wybieraną była na pannę młodą, a na pana młodego przystojny z czarnym wąsikiem palestrancik małego wzrostu, czupurny, zręczny, jowialny, nieco rubaszny, conceptowy, zalotny, Bonawentura Węgliński, przez panny przewany Bonusiem, istny obraz Kubusia Morawskiego, tak trafnie w jego Dworcu opisanego. Gdzie Bonusia nie było zasmucone twarze panien wydawały, gdzie się znajdowały wesołe skoki, gwar, chichoty, radość i ukontentowanie zdradzały. Opiszę jeden kulig, do którego z moim starszym bratem, nie mając jak szesnaście lat należałem.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

*N<sup>o</sup> Inw. 228.*



2A



10c72

1